Nr. 15. Poznań, dnia 13-go kwietnia 1913 Rok XVII.

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . 2,— z odnoszeniem do domu . . . 2,12 pod opaską . . 3,50

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38
Telefon N 3097
OGŁOSZENIA: od wiersza drobnego 30 fen.

Tygodnik polityczny i literacki, illustrowany.

Rada Narodowa.

Mamy nareszcie Radę Narodową. Kilka lat trwało nim projekt utworzenia tego ciała, rzucony w piśmie naszem przez p. Adama Napieralskiego, w zasadzie się urzeczywistnił.

W szczegółach bowiem różnica pomiędzy projektem a rzeczywistością jest znaczna.

Mimo to witamy powstającą organizacyę z radością w tem przekonaniu, że odda ona poważne usługi społeczeństwu.

Ustawy Rady Narodowej składają się z 10 paragrafów, które brzmią jak następuje:

§ 1. Rada Narodowa jako moralna przedstawicielka całego społeczeństwa polskiego w obrębie Rzeszy niemieckiej obejmuje działalnością swą wszystkie dziedziny życia publicznego.

W tych dziedzinach ma Rada Narodowa prawo wypowiadania opinii, dawania inicyatywy a obowiązek powoływania do życia nowych organizacyi na polach leżących odłogiem. Działalność Rady Narodowej wobec społeczeństwa i jego organizacyi, o ile chodzi o zbiorowe zajęcie stanowiska, ma charakter tylko doradczy.

§ 2. Na cele publiczne zbiera Rada Narodowa na drodze dobrowolnych składek i ofiar fundusze, którymi rozporządza podług swego uznania.

§ 3. W skład Rady Narodowej wchodzi:

1) 9 delegatów centralnego Komitetu wyborczego z uwzględnieniem wszystkich dzielnic reprezentowanych w Centralnym Komitecie wyborczym,

2) 10 delegatów Kół poselskich a mianowicie: 5 z Koła parlamentarnego, 5 z Koła sejmowego (a w tem 2 z izby panów).

Rada Narodowa ustanawia dla czynności swych osobny Regulamin.

§ 4. Rada Narodowa zajmuje się sprawami:

1) z dziedziny politycznej,
2) z dziedziny społeczno-gospodarczej,
3) z dziedziny kulturalno-oświatowej.

Sprawy polityczne załatwia Rada Narodowa in pleno. Dla spraw społeczno-gospodarczych i kulturalno-oświatowych tworzy Rada Narodowa w swem łonie osobne wydziały, do których powołuje przez kooptacyę doświadczonych obywateli.

§ 5. Wydziały organizują się samodzielnie. Ich uchwały podlegają zatwierdzeniu Rady plenarnej. Kooptowani do wydziału obywatele mają prawa równe z delegatami Rady Narodowej w wydziałach, a dalej in pleno Rady w sprawach przez odnośny wydział przygotowanych.

§ 6. Do ważności uchwał na plenarnych i wydziałowych zebraniach potrzebna jest obecność absolutnej większości członków. Uchwały zapadają większością dwóch trzecich głosów członków na posiedzeniu obecnych.

§ 7. Radzie Narodowej przysługuje prawo wykluczenia członka w razie popełnienia przezeń czynu nie honorowego lub nie obywatelskiego, większością $^2/_3$ głosów członków na posiedzeniu obecnych.

§ 8. Rada Narodowa wybiera prezesa, sekretarza, ich zastępców i skarbnika. Prezesem może być członek kooptowany, który ma pełne prawa członka Rady Narodowej. Zarząd załatwia wszystkie sprawy administracyjne i reprezentuje Radę Narodową na zewnątrz.

Do ważności uchwał zarządu potrzebna jest obecność przynajmniej 3 członków, między którymi znajdować się powinien prezes lub jego zastępca. Uchwały zapadają absolutną większością głosów. W razie równości głosów rozstrzyga prezes względnie jego zastępca. Zebranie całej Rady Narodowej zwołuje zarząd według swego uznania, a musi zwołać na wniosek jednej trzeciej członków Rady Narodowej.

§ 9. Zarząd utrzymuje biuro, powołuje potrzebnych urzędników i składa roczny rachunek całej Radzie Narodowej.

§ 10. Wnioski o zmianę ustaw winny być zarządowi podane na piśmie co najmniej 4 tygodnie przed zebraniem, które o zmianie ma decydować. Zmiana

ustaw może nastąpić na wspólnem posiedzeniu centralnego Komitetu wyborczego i obydwóch Kół poselskich, na którem są obecne dwie trzecie członków tychże organizacyi. Uchwały zapadają większością trzech czwartych głosów obecnych członków. W razie braku kompletu przy pierwszem głosowaniu, następuje drugie głosowanie po dwóch tygodniach, przyczem uchwały zapadają większością trzech czwartych głosów bez względu na ilość obecnych.

Ustawy te były objektem roztrząsań na zebraniu wspólnem członków Kół poselskich i Centralnego Komitetu wyborczego w Berlinie. Obrady trwały dwa dni i toczyły się w trzech czytaniach. Po przeprowadzeniu rozmaitych zmian i poprawek przyjęto je ostatecznie jednogłośnie, co ze szczególniejszym podnieść należy naciskiem na dowód, że Rada Narodowa, jak powstała za zgodną wolą całego społeczeństwa, tak też co do organizacyi swej, zakresu swego działania i granic swej kompetencyi zgadza się z wolą powołanych przez społeczeństwo do utworzenia jej czynników wszystkich bez wyjątku.

Nie znaczy to, aby Rada Narodowa we wszystkich punktach odpowiadała wszystkim życzeniom zakładających ją osób lub zgoła spełniała wszelkie postulaty, z jakiemi zbliżano się do niej z łona społeczeństwa. Taką idealną instytucyą ona nie jest i nigdy nie będzie, gdyż urzeczywistnienie wszystkich życzeń, choćby niewiedzieć jak uzasadnionych i słusznych, jest rzeczą niemożebną do przeprowadzenia. Natomiast jest ona dziełem rozumnego kompromisu. Wszyscy starali się dojść do pozytywnego rezultatu, przeto każdy wycofał ze swego programu to, co zbędne, co nie miało widoków powodzenia, a dokładał wszelkich sił, by to, co istotnie ważne i podstawowe i co rzeczywiście miało szanse przejścia, w ustawach należycie się uwydatniło. Była dobra wola ze wszech stron, przeto obrady wydały rezultat dodatni i stworzono instytucyę mającą wszelkie dane odegrania ważnej i doniosłej roli w życiu społeczeństwa.

Rada Narodowa ufundowała się wyraźnie jako instytucya doradcza. My — jak sobie czytelnik łaskawy przypomnieć zechce — pragnęliśmy w niej mieć instytucyę kierowniczą, naczelną władzę, żeby się tak wyrazić niejako rząd narodowy społeczeństwa. Pod tym kątem widzenia proponowaliśmy swego czasu zupełnie inny skład, niż ten, który obecnie instytucya ta sobie nadała. Okazało się wszakże rychło, że projekty te na razie nie były możliwe do przeprowadzenia. Trzeba się tedy zgodzić na to, co się utworzyć dało i ufać, iż Rada Narodowa obecna będzie zawiązkiem tej przyszłej większej i w poważniejsze kompetencye uzbrojonej organizacyi.

Pole działania ma nowo powstała organizacya szerokie. Od ludzi, którzy w niej działać będą, zależeć będzie, czy zdoła się stać prawdziwie użyteczną instytucyą. Tyle jednak pewna, że narodzinom jej pomyślne towarzyszą aspekty. Tak opinia publiczna jak prasa wszystkich odcieni bowiem odnosi się do niej nader przychylnie i przyrzeka jej pomoc i poparcie. Nastrój ogółu jest zatem bardzo sympatyczny, co daje niejaką pewność, że nikt jej podstępnie nogi podstawiać nie będzie, lecz owszem, że wszyscy wedle sił z nią współpracować zechcą.

W tej myśli i my witamy nową instytucyę narodową i życzymy jej owocnej pracy we wszystkich dziedzinach, które uprawiać zamierza. Życzymy jej jasnego, bezstronnego sądu i nieustraszonego męstwa w objawianiu swych poglądów. Życzymy jej nareszcie należytego uwzględnienia ze strony ofiarności społeczeństwa, gdyż bez wystarczających materyalnych środków trudno byłoby osiągnąć wykreślone cele.

Po mowie kanclerza.

W parlamencie niemieckim rozpoczęło się pierwsze czytanie projektu zbrojeń, którego szczegóły wyłuszczyliśmy w grubszych zarysach w ostatnim zeszycie pisma naszego.

Rzecz jasna, że cały świat cywilizowany w gorączkowem napięciu wyczekiwał mowy kanclerza Rzeszy, mającej dać uzasadnienie tych niebywałych żądań wojskowych.

Kto sądził, że z mowy tej dowie się coś więcej ponadto, co w ostatnich tygodniach było można czytać do znudzenia w rozmaitych gazetach „patryotycznych", ten zawiódł się na całej linii.

Wszystkim mniejwięcej jest wiadomo, że w razie wybuchu wojny europejskiej i Niemcy wciągnięte będą we wir wypadków i w konsekwencyi o byt swój walczyć będą musiały.

To było jednak tak samo prawdą za czasów awantur marokańskich, a także w chwili wybuchu wojny bałkańskiej, a przecież nikomu się nie śniło o nowych zbrojeniach, owszem zapewniano, iż Niemcy przygotowane są na wszelkie ewentualności.

Również jest prawdą, że wyeliminowanie Turcyi z Europy i zajęcie jej miejsca przez państwa bałkańskie. jest zjawiskiem dla Niemiec niekorzystnem. Na to jednak, żeby z tych zmian politycznych czerpać asumpt do tak potwornych zbrojeń, jak to przewidują przedłożenia rządowe, należałoby dowieść, iż także pod względem militarnym szanse Niemiec się pogorszyły. Trzeba jednak przytem uwzględnić olbrzymie wyczerpanie tak militarne jak finansowe państw bałkańskich, wyczerpanie bez porównania większe i dłuższego na usunięcie go wymagającego czasu, niż militarne osłabienie Włoch z powodu wojny libyjskiej, którem przezorny kanclerz nie omieszkał obciążyć bilansu trójprzymierza.

Zresztą należałoby odczekać, jak się stosunki na Bałkanie ułożą. Dzisiaj niepodobna żadnych pewnych wyciągać wniosków. Nie wiadomo przecież, czy państwa te chcą i czy zdołają utrzymać sojusz, któremu obecnie ekspansyę tę zawdzięczają. Mogą powstać pomiędzy niemi zatargi i antagonizmy różnorakie, osłabiające ich siłę na zewnątrz i na wenątrz. Nie było zatem przyczyny tak bardzo śpieszyć się ze zbrojeniami, tem mniej, im jaśniej się objawiła wola Europy nie dopuścić do wybuchu powszechnego.

Pozorów, a nawet — jeżeli kto chce — powodów ku temu nie brakło w ostatnich latach, a szczególnie w ostatnich miesiącach, a mimo to udało się pokój utrzymać i mocno chwilami szwankującą łódź pokoju europejskiego salwować z nurtów rozmaitych Scyll i Charybd.

Czyżby teraz, gdy wzburzone fale wojenne na Bałkanie powoli wygładzać się zaczynają, sytuacya miała się stać dla Niemiec niebezpieczniejszą?

Kanclerz wskazuje na agitacyę szowinistów we Francyi i na rosnący ruch panslawistyczny w Rosyi i liczy się nawet z możliwością zbliżania się wielkiej rozprawy słowiańsko-niemieckiej.

Ruchy te i niebezpieczeństwa istnieją wszakże od dawna, a jednak nie wytaczano przeciw nim tak kolosalnych kolubryn, jakiemi są nowe żądania wojskowe.

Mianowicie co do niebezpieczeństwa słowiańskiego powoływano się nie bez słuszności, zdaniem naszem, na faktyczne rozdarcie wewnętrzne słowiańszczyzny przez rozliczne niezałatwione kwestye i antagonizmy międzyszczepowe, uniemożliwiające, a przynajmniej utrudniające niesłychanie i paraliżujące wszelkie zgodne działania na zewnątrz. Dotychczas zaś nie widać żadnych znaków, któreby jakiekolwiek ważniejsze w tej mierze zapowiadały zmiany, a musiałyby się one przedewszystkiem pokazać w Polsce, której stosunek do Rosyi

i odwrotnie rozstrzyga wprost o przyszłości słowiańskiej.

Tak tedy niepodobna będzie uzasadnień kanclerza uznać za wystarczające. Ludzi nie zaczadzonych sugestyą agitacyi nacyonalistów niemieckich, o których zgubnej robocie kanclerz ani słowem nie wspomniał, bo snać sam wraz z rządem pod wpływem ich roboty pozostaje, argumenty kanclerza nie przekonają tak łatwo. Lecz nie bardzo mu na tem potrzebuje zależeć. Konjuktury bowiem dla zbrojeń są chwilowo znakomite i większość dla przedłożeń rządowych tak dobrze jak zapewniona.

Z tego, co się powyżej rzekło, wynika, iż stanowisko Koła polskiego już z czysto rzeczowych pobudek może być tylko odmowne w tej sprawie. Skoro zaś uwzględni się ogólne położenie nasze w Prusach, mianowicie teraz po uruchomieniu akcyi wywłaszczycielskiej, to nawet wtenczas, gdyby przedłożenia rządowe więcej przekonywająco były umotywowane, jeszcze nie mogliby Polacy przykładać ręki do obciążania się większą daniną z krwi i mienia.

To też nie znajduje się chyba Polak, którzyby nie zgodził się we wszystkich punktach na świetną i pełną godności mowę wiceprezesa Koła polskiego mecenasa Władysława Seydy, który z powołaniem się na wywłaszczenie pruskie projekty rządowe jak najstanowczej odrzucił.

Kryzys w sejmie galicyjskim.

Zabiegi rządu centralnego w Wiedniu w sprawie reformy wyborczej w Galicyi nie udały się i reforma ma bardzo słabe widoki przejścia, a bardzo jest możliwe, że rokowania między stronnictwami się rozbiją. Główna wina spadłaby wtedy na rząd i tych reprezentantów społeczeństwa polskiego, którzy nie licząc się z opinią kraju tak bezwzględnie postępowali w rokowaniach z Rusinami i dobrem narodowem szafowali. Faktem jest, że ludność nasza po uchwaleniu reformy wyborczej do parlamentu nieco osłabła w zapałach do demokratycznych reform, widząc zawiedzioną się w swych nadziejach, jakie jej niesumienna a tania agitacya czyniła podczas akcyi za reformą do parlamentu. To też i obalenie obecnie reformy wyborczej nie pociągnie za sobą tych konsekwencyj i walka przeciw obecnemu projektowi jest niesłychanie ułatwiona. Dziś widzimy, że reprezentanci polskich stronnictw prowadzących rokowania nazbyt byli ustępliwi i poczynili powoli wszystkie koncesye na rzecz Rusinów, jakich tylko ci zażądali. Spojrzmy pokrótce na ten projekt reformy sejmowej.

Przedewszystkiem pod względem demokratyzmu reforma wyborcza nie czyni wielkich ustępstw z dotychczasowego stanu kuryalnego. Pozostawia kurye, a nawet stwarza jeszcze nowe, a mianowicie kuryę sredniej własności i kuryę rękodzielniczą. Przejdźmy jednak do kuryi. Otóż w kuryi wielkiej własności na 45 mandatów przypada Rusinom jeden mandat. Niegdyś była to kurya silna. W dobie tworzenia organizacyi wyborczej sejmowa kurya opłacała trzy miliony podatku, tj. 25 proc. ogółu podatków, dziś płaci coprawda 4 i pół miliona koron, lecz stanowi to dziś zaledwie 12,7 proc. sumy ogólnej. Z tego na Rusinów 19 właścicieli ziemskich przypada zaledwie 87 tys. koron. Rusini we większej własności reprezentują zaledwie 0,4 proc. ogółu ziemi i 0,5 proc. ogółu podatków, do mandatu przeto nie mają żadnej podstawy. A jednak dano im mandat.

Miastom projekt przyznaje 44 mandaty, w tem 3 ruskie w kuryi powszechnej, zaś 12 polskich i znów trzy ruskie. Rusini w miastach nigdzie nie przedstawiają takiej siły, aby można było utworzyć dla nich okręg wyborczy. Ludność ruska opłaca podatków w miastach zaledwie 3, 4 proc., podczas gdy na Polaków przypada 96,6 proc. ogółu podatków. Powinnoby przeto wypaść na 48 mandatów polskich 2 ruskie, gdy tymczasem jest ich 8. W kuryi wiejskiej pokrzywdzenie ludności polskiej jest jeszcze większe. Na 107 posłów własność średnia i mniejsza ma otrzymać 49 mandatów ruskich, zaś 58 polskich.

Rusini opłacają 38,9 proc. podatków wobec 61,1 proc. opłacanych przez Polaków, należałoby się więc Polakom 61 mandatów, a Rusinom 39 w kuryi mniejszej własności, gdy tymczasem Polacy otrzymają 54 mandaty, a Rusini 45. Nadto mandaty dla Rusinów mają być zabezpieczone ustawowo, gdy zastrzeżeń tych dla polskich mandatów nie ma. Już dziś zachodzą obawy, że wobec wysprzedawania dworów na wschodzie może przyjść do zmian dla nas wysoce niekorzystnych. Coraz częściej właścicielami dworów stają się żydzi, a nie rzadko i Rusini. Od r. 1870 stosunek żydów, jako właścicieli dworów, podniósł się z 80 na 417, czyli z 4 proc. na 18 proc. W miastach jeszcze gorzej. Z kuryi powszechnej nieco mandatów dostanie się w ręce socyalistów, którzy będą udawali aniołów pokoju i zawsze będą stawali — nie ulega wątpliwości — po stronie uciśnionych Rusinów. W kuryi miejskiej ludność żydowska stanowi na zachodzie 28 proc., na wschodzie 37 proc., a nawet dochodzi do 40 proc. Po wydzieleniu Rusinów do osobnej kuryi miejskiej, ludność polska zostanie w zupełności przez żydów zmajoryzowana, nie mówiąc już o tem, że izby handlowe również mają własną reprezentacyę i wybierają samych żydów. Gdzież właściwie są te polskie mandaty, bo dotychczas z tego widać, że postarano się zabezpieczyć mandaty ruskie i żydowskie.

Ale to dopiero jedna strona szkodliwa tej reformy. Są i inne.

Oto zastrzeżone ma być, że ruskich członków komisyi i Wydziału krajowego wybiera nie cały sejm, ale t. zw. kurya ruska, to jest sami Rusini. Do czego to prowadzi, jak nie do najoczywistszego podziału kraju na polski i ruski? Cóż taki sejm będzie znaczył, jeśli ta kurya ruska będzie zbierała się osobno, osobno uchwali swe żądania, a prezydyum jej zakomunikuje je polskiemu przedstawicielstwu. Gdy Polacy zgodzą się na to, to dobrze, będzie głosowanie w sejmie, gdy odmówią swej zgody, będzie ruska muzyka. Odtąd sejm zejdzie do czczej formalności schodzenia się dwóch izb narodowościowych celem powzięcia pewnych uchwał, ale punkt ciężkości obrad będzie na posiedzeniach tych izb, a nie sejmu. I zajdzie ten prawdopodobny wypadek, że dwie owe izby nierówne co do ilości głosów, co do wpływu będą równorzędne i bez zgody jednej lub drugiej nie będzie uchwał sejmowych. A jeśli się zważy, że Rusini zawsze coś mają do żądania, a ich nie wiele obchodzi, czy sejm będzie obradował, czy budżet będzie uchwalony, to zrozumiemy że reforma ta jest oczywistem zaprzepaszczeniem na rzecz Rusinów całego naszego samorządu, a zarazem zniszczeniem naszego wpływu na losy tego kraju.

Przyszły tydzień rozstrzygnie losy kraju i narodu naszego. Politykom naszym spieszy się widocznie do zaprzepaszczenia kraju, bo postanowili odbywać posiedzenia całodzienne. Ich pali nie chęć przeprowadzenia reformy, ale obawa, że te krzywdy własnego narodu mogą każdej chwili otworzyć mu oczy i może się on sprzeciwić reformie „takiej“, jak ją popularnie nazwano.

Czy projekt przejdzie w samej izbie sejmowej, trudno dziś orzec cośkolwiek. Większości nie ma potrzebnej w sejmie, zresztą opozycya może zdekompletować sejm. Obok narodowych demokratów i centrum stanęli przeciw reformie wyborczej i Podolacy, tak, że

opozycya posiada wcale poważną ilość głosów. Charakterystyczną rzeczą jest, że biskupi i arcybiskupi polscy wystąpili w obronie ludu polskiego i chrześcijańskich mieszkańców miast przeciw tej reformie wyborczej. Co prawda i zwolennicy reformy wyborczej nie zasypiają sprawy w jakiemś nerwowem podrażnieniu, pisma nawet najpoważniejsze i najspokojniejsze, przepełnione są zjadliwemi artykułami na przeciwników, jakby trawione jakąś chorobliwą gorączką. Ze strony namiestnika nawet padają takie argumenty, że rząd chce reformy wyborczej, więc Polacy powinni się zgodzić, a właśnie naszem zdaniem ten argument rządowy powinien służyć przeciw reformie, gdyż rząd swem postępowaniem dowiódł niejednokrotnie, że mu na naszem dobru nie zawsze zależy i nie zawsze liczy się z tem, co dla nas jest dobre, lecz robi to, co dla niego jest lepsze. Wreszcie złudą i mydleniem oczu jest wmawianie w społeczeństwo nasze, że przez zawarcie reformy wyborczej nastąpi zgoda z Rusinami. Wszak nie ma przez cały czas obrad wcale mowy o zgodzie, lecz jest tylko mowa o reformie, a sam przewodniczący klubu ukraińskiego Kost Lewicki na pierwszem posiedzeniu sejmu nie mówił o zawarciu zgody, ale o odniesieniu zwycięstwa nad Polakami w sprawie reformy wyborczej — „jeśli tak będziecie spełniać nadal nasze żądania, będziecie mieli spokój i sejm będzie mógł obradować, jeśli nie, będziecie mieli muzykę z tą różnicą, że nas w nowym sejmie będzie grało 60." — Smutne to choć prawdziwe, a co smutniejsze, że Polacy, przez swe zaślepienie polityczne — stali się mimowoli reżyserami tej smutnej muzyki.

S. W.

Nieszczęsny to człowiek, co w marnem próżnowaniu czasy swe sprośnie traci, a jest tylko jako on staroświecki marmurowy filar, a na nim chłop ze spiżu ulany, co tylko wróble albo gołębie na nim siadają, a w niwecz się nie przygodzi.

Mikołaj Rej.

* * *

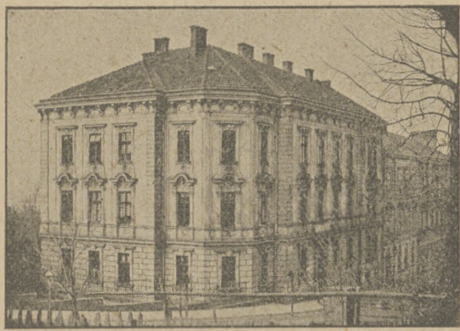
Budujmy wszyscy! bo każden co zdoła
Myśl dobrą przelać w gorliwe działanie,
Współpracownikiem wszechwieków się stanie,
Przyniesie dar swój do prawdy Kościoła.

Deotyma.

* * *

Kiedyś z milionów jednego wybrała
Na władcę duszy i na władcę ciała,
Niech on już jednym pozostanie tobie
W życiu i w grobie.

Wiktor Gomulicki.



Polskie gimnazyum w Cieszynie.

Cieszyn.

(Dokończenie).

Po wyginięciu książąt piastowskich w 1659 r. na Elżbiecie Lukrecyi, kończy się okres rządów piastowskich, a Śląsk dostaje się pod bezpośrednią władzę królów czeskich, którymi byli wówczas Habsburgowie i odtąd dzieli losy dziedzicznych krajów habsburskich, a zarazem i losy Rzeszy niemieckiej.

Na zamku Cieszyńskim rezyduje odtąd namiestnik czeski, stąd też i całe życie publiczne zaczyna grawirować ku Czechom. Tem tłumaczy się, że protokóły rady miejskiej spisywano po czesku — stąd pochodzi, że przy organizacyi szkolnictwa ludowego w połowie XIX. w. na Śląsku Cieszyńskim okazało się, że przeważna ilość szkół używała do nauki podręczników czeskich.

Kraj odcięty od Polski musiał szukać sobie nowych dróg cywilizacyjnych, które oczywiście wiodły z Czech, a jeśli czeszczyzna nie zdołała w zupełności wywrzeć swego piętna, — to przyczyna polegała w wycięcieniu kraju i zupełnego jego odrętwienia po wojnach ze swymi władcami.

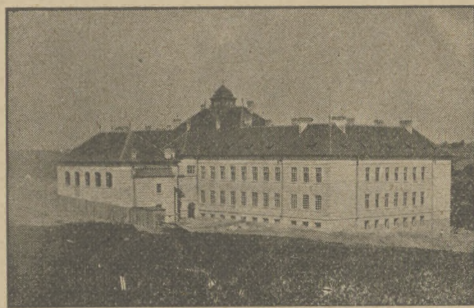
Ludność Cieszyna była w przeważnej części polską, — co stwierdzają liczne dokumenta z XVI. i XVII. stulecia, a czemu nie zaprzeczają nawet niemieccy historycy. Językiem tej ludności był oczywiście język polski, jednak z powodu braku wszelkiej kultury polskiej martwiał i poddawać się z konieczności musiał językowi czeskiemu i niemieckiemu, od których zapożyczał wiele wyrazeń.



Polska szkoła ludowa w Cieszynie.

Wiele do zubożenia miasta i kraju przyczyniły się już od czasów ostatnich Piastów trwające wojny religijne. A gdy te ustały znów niezadługo zawrzała długoletnia wojna o Śląsk z Prusami, zakończona pokojem w Cieszynie, a później znów wojny napoleońskie, to wszystko sprawiło, że z dawnej zasobności, z dawnej świetności szczątki, ruiny pozostały.

Tak przetrwał ów piastowski gród dwa stulecia. Zniemczeni książęta zeszli do grobu, — w mieście rządzili obcy ludowi królewscy urzędnicy, pozostał jednak sam lud, ze swemi zabytkami przeszłości, resztkami wielkości i wspaniałości, a choć zatracił poczucie polskości, mimo to na odgłos surm wolnościowych w 1848 r. nie ostał się w tyle, lecz obudził się do pracy, dzięki kilku jednostkom, jak Paweł Stalmach, dr. Andrzej Cięciała i w. i.



Polskie seminaryum męskie na Bobrku pod Cieszynem.

Ocknął się Śląsk, — a przedewszystkiem Cieszyn, jakby z jakiego długowiekowego letargu, aby być tem, czem był przed wiekami: wedetą nadgraniczną przeciw zachodowi.

Zatętniło życie polskie w całej pełni. Pierwszym burmistrzem z wyboru został dr. Klucki, znany przyjaciel sprawy polskiej. W szkołach przy pomocy Tow. dla popierania nauki języka polskiego więcej zwracano uwagi na język ojczysty, — powstało pierwsze pismo polskie p. t. „Tygodnik Cieszyński", założono czytelnię polską, powołano do życia teatr polski itp.

Ale fala represyi i centralizmu wiedeńskiego poparta przez nielicznych coprawda, ale z dniem każdym, wobec rosnącego przemysłu pomnażających się Niemców, wnet nietylko obaliła pierwsze zaczątki życia narodowego, ale nadto w przeciągu niewielu lat uporała się tak szybko z niem, że Cieszyn w latach 1870—1890 przybrał zewnętrzną

szatę niemiecką. Stanowisko burmistrza zajął Niemiec Demel, ze szkół wszystkich wyrzucono język polski, to samo z życia publicznego, urzędów i władz miejskich.

Czytelnię polską zamknięto, a teatrowi polskiemu zakazano występów, zaś wydawców pism polskich nękano grzywnami i więzieniem.

Wreszcie na zakończenie tych aktów germanizacyi, ogół obywateli przy spisie ludności zapisano jako Niemców, i zdawało się w pierwszej chwili Niemcom, że już zatarłszy wszelkie ślady polskości i przeszłości miasta, mogą powiedzieć sobie spokojnie: „Teschen, die urdeutsche Stadt".

Ruch polski za pierwszym podmuchem fali germanizacyjnej obalony, — przycichł, ale nie dał się zmieść.

Pracę rozpoczęto na nowo, — choć już w niezwykle trudniejszych warunkach, lecz od podstaw. Naprzeciw niemieckiego ratusza stanął okazały gmach polskiej kultury i polskiego życia narodowego „Dom Narodowy", w którym pomieszczono najgłówniejsze polskie towarzystwa. Tu skupiło się i zogniskowało życie polskie usunięte z sal ratuszowych.

Przeciw zgermanizowaniu szkół podjęto niezwykle ciężką pracę: w 1884 r. założono skromne Towarzystwo: Macież szkolną." I trudno uwierzyć, że ta drobna w zaczątkach instytucya doprowadziła do tego, że dziś Cieszyn jest siedzibą polskiego gimnazyum, od kilku lat upaństwowionego, państwowego w b. r. założonego seminaryum nauczycielskiego, a nadto szeregu szkół utrzymywanych przez Macierz szkolną jak: polskiej szkoły wydziałowej, polskiej szkoły ludowej, kursów uzupełniających, żeńskich, polskiej szkoły przemysłowej, oraz bursy szkolnej.

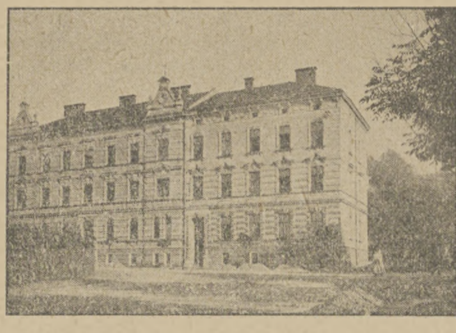
Widząc, że podwaliną niezależności narodowej jest niezależność ekonomiczna, założono znakomicie dziś prosperujące Tow. oszczędności i zaliczek, a nadto niedawno założono polski bank cieszyński, oraz polskie spółki spożywcze.

Również i życie kulturalne rozszerza się pomyślnie. Powstał do obecnych czasów cały szereg towarzystw jak: Sokół, Żnicz, Czytelnia katolicka, Czytelnia ludowa — z nader cenną i w unikaty polskie nawet zasobną biblioteką, dwa Koła Macierzy Szkolnej itd.

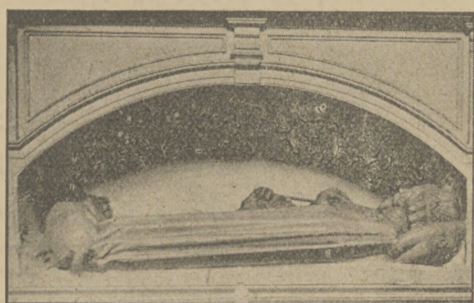
Nadto Cieszyn jest siedzibą całego szeregu większych polskich instytucyj na cały Śląsk oddziaływujących jak: niezmiernie ruchliwego Polskiego Tow. Pedagogicznego, Tow. akademickiego „Znicz", Związku polskiego kas Raiffeissena itd.

Tu wreszcie wychodzi obecnie blisko 10 pism polskich, a wśród nich najpoważniejsze: „Dziennik Cieszyński" i „Gwiazdka Cieszyńska".

Dziś ruch kulturalny polski ogniskuje się stąd na cały Śląsk, dziś całe Cieszyńskie ogląda się tam, kędy z poza drzew ze skalistego złamu sterczy stara wieżyca zamku książęcego i świeci w dal orły piastowskiemi i stąd czerpie do dalszej pracy ciężkiej i mozolnej, otuchę i pokrzepienie, jak ongi, — trzej bracia Piastowicze czerpali je u stóp do dziś dnia bijącego źródła.



Polska bursa w Cieszynie.



Pomnik księcia Mieczysława Piastowskiego w kościele parafialnym w Cieszynie.

I to druga — nie mniej ważniejsza od poprzedniej misya Cieszyna.

S. W.

Z naszych spraw.

Ruch wyborczy.

Wiec na Wildzie.

Szereg wieców wyborczych w mieście Poznaniu zapoczątkowało w niedzielę ubiegłą zebranie na Wildzie dla dwóch wildeckich okręgów. Udział wyborców był dość liczny, tak, że sala p. Golana się wypełniła. Zagaił i przewodniczył zebraniu zastępca przewodniczącego w Komitecie poznańskim pan mecenas Drwęski.

Po ukonstytuowaniu biura przemawiał poseł p. dr. Niegolewski o antypolskich prawach i przepisach, udzielając wskazówek, jakie stanowisko powinniśmy wobec nich zajmować. Za godzinne pouczające uwagi podziękowano posłowi okrzykiem „Niech żyje!"

Po nauce o wyborach, wygłoszonej przez p. Karola Rzepeckiego wybrano jako kandydatów poselskich pp. B. Chrzanowskiego i St. Offierskiego, jako delegatów pp. K. Rzepeckiego i dr. M. Seydę, zastępcami pp. St. Offierskiego i Z. Lewandowskiego oraz członków dwóch komitetów okręgowych. W końcu przyjęto jednogłośnie wśród oklasków następujące rezolucye:

I.

Zebrani na dzisiejszym wiecu obywatele wildeccy wyrażają najwyższe oburzenie z powodu zastosowania przez rząd pruski wywłaszczenia oraz z powodu nowego projektu, wyrzucającego 230 miljonów na zgniecenie żywiołu polskiego.

Wiec wzywa posłów naszych w Sejmie pruskim, by w odpowiedzi na nowy projekt dali w drugiem i trzeciem czytaniu wyraz jak najdosadniejszy oburzeniu społeczeństwa i głosowali przeciw całemu etatowi pruskiemu; wiec prosi zarazem posłów polskich w Parlamencie, by nie uchwalili ani fenyga na powiększenie wojska i pokrycie powstałych stąd miliardowych ciężarów.

II.

Wiec wita z radością powstanie Rady Narodowej, wyrażając przekonanie, że działalność Rady oparta będzie na dobrej woli i szczerym potryotyźmie wszystkich czynników. W ten sposób rosnąć będzie stale powaga Rady Narodowej, czego wymaga dobro naszej wspólnej sprawy narodowej.

* * *

Wiec w Poznaniu

czyli walne zebranie wyborcze na okręg 3 i 4 zagaił w ubiegły wtorek na starej sali bazarowej prezes Komitetu Wyborczego na miasto Poznań p. Stefan Chociszewski. Na sekretarza poproszono p. Fortuniaka.

Z prawdziwym bólem serca zaznaczyć nam tu wypada, że takiej oziębłości, takiego braku zainteresowania się sprawami wyborczemi i braku poszanowania dla języka polskiego jak pamięcią sięgamy jeszcze nie zauważyślimy. I to teraz, kiedy na krótki tylko czas, bo zaledwie na pięć tygodni odjęto nam z ust knebel, kiedy wolno nam w całej pełni używać naszego kochanego języka polskiego — na przeszło 2000 wyborców w tym okręgu stawiło się *sześćdziesięciu trzech!* Zamiast czas wyzyskać, zamiast przybywać licznie, z pewnem utęsknieniem, w tej chwili uroczystej i poważnej, Poznań okazuje tak szaloną obojętność; to doprawdy nie do darowania. To też p. Bernard Chrzanowski, który mówił na temat: „Stosunek polskiego wyborcy do polskiego języka" dosadnio napiętnował takie lekceważenie mowy polskiej, tak srogo prześladowanej przez system pruski.

W dyskusyi nad referatem przemawiał tylko p. Piotrowski. Naukę o wyborach do sejmu pruskiego wygłosił pan Karol Rzepecki.

Na kandydatów poselskich wybrano jednogłośnie pp. Bernarda Chrzanowskiego i Stanisława Offierskiego. Delegatami pp. K. Rzepeckiego i dr. M. Seydę, zastępcami pp. S. Offierskiego i Z. Lewandowskiego.

Do komitetu wyborczego na III. okręg wyborczy wybrano pp. dr. M. Seydę, Drabętowicza, Ant. Marwega i For-

tuniaka; na IV. okręg pp. Rzepeckiego, Chociszewskiego, adw. Drwęskiego i Miecz. Powidzkiego.

W wolnych głosach wyrażono życzenie, aby na przyszłość zebrania odbywały się w dogodniejszym czasie, n. p. w niedzielę.

Przewodniczący p. Chociszewski, zamykając o godzinie pół do 11 zebranie, wzywał obecnych, ażeby w pracy wyborczej pomagali komitetowi.

* * *

Zjazd kupców w Gostyniu.

Stosownie do zaproszenia delegatów gostyńskich na zeszłorocznym zjeździe kupców samodzielnych w Inowrocławiu, odbyło się tegoroczne walne zebranie delegatów Związku towarzystw kupieckich na Wielkie Księstwo Poznańskie w ubiegłą niedzielę w Gostyniu.

Przed południem po przybyciu pociągów nastąpiło zwiedzenie 1) pierwszej polskiej fabryki szczotek i pędzli p. B. Murawskiego w Gostyniu; 2) klasztoru Filipinów i kościoła pod Gostyniem, gdzie łaskawie oprowadzał licznych uczestników i udzielał objaśnień ks. Olejniczak; 3) kościoła farnego, gdzie informował ks. prob. Jackowski.

Około godziny 2 zagaił na sali hotelu francuskiego zebranie, na które przybyło 32 delegatów z 19 miast, w zastępstwie chorego prezesa Związku pana szambelana Cegielskiego, wiceprezes p. Thomasz z Borku, który po powitaniu obecnych udzielił głosu prezesowi Gostyńskiego Towarzystwa samodzielnych kupców, panu Staśkiewiczowi do przemówienia wstępnego. Na wniosek p. Chojnackiego z Gniezna uchwalono wysłać do p. szambelana Cegielskiego telegram, wyrażający życzenie rychłego powrotu do zdrowia.

Pan W. Ozdowski, sekretarz Związku wygłosił bardzo wyczerpujące sprawozdanie roczne z czynności Związku i poszczególnych Towarzystw związkowych. Niestety, na 32 Towarzystw do Związku należących, tylko 21 przysłało swe sprawozdania. Członków liczą te 32 Towarzystwa związkowe 850, a majątek ich wynosi 18, 172,75 mk., z tych sama Korporacya Kupców chrześc. w Poznaniu posiada 15,000 mk. W końcu swego sprawozdania p. Ozdowski przemówił gorąco na temat hasła: „Swój po swoje do swego" i o obowiązku organizowania się kupiectwa celem samoobrony. Niebawem Związek wyda spis wszystkich kupców i przemysłowców zorganizowanych. Nawołując do większej ofiarności na cele Towarzystwa i do wytrwałości mówca wzniósł okrzyk: „Zorganizowanemu kupiectwu cześć!" powtórzony z zapałem przez wszystkich obecnych.

Nad sprawozdaniem wywiązała się obszerna dyskusya. Obszerna dyskusya toczyła się także nad wnioskiem Towarzystwa kościańskiego, dotyczącym zmiany § 14 ustaw o tyle, aby Walne zebrania odbywały się zawsze w Poznaniu. Sentyment zebrania był jednak za tem, aby zebrania te odbywały się nadal jak dotąd kolejno w różnych miastach Księstwa.

Nadeszło kilka telegramów i listów z życzeniami, pomiędzy innemi od p. szambelana Cegielskiego i dr. Tad. Jackowskiego z Wronczyna.

O godzinie pół do 6-tej p. Thomas, dziękując delegatom i gościom za liczny udział w rozprawach, a prasie za bezinteresowne poświęcenie się i stałe popieranie interesów kupiectwa, zamknął zjazd. Przewodniczącemu podziękowano za prowadzenie obrad okrzykiem „Niech żyje!", poczem odbył się wspólny obiad.

Uczestnicy Zjazdu doznali od Gostyniaków serdecznego przyjęcia.

* * *

Zjazd delgatów Samopomocy ludu polskiego.

W Wągrówcu w strzelnicy odbył się w ubiegłą niedzielę zjazd delegatów Samopomocy ludu polskiego. Zagaił go ks. prob. Duczmal, który wskazał na najgłówniejsze zadanie Samopomocy. Należy do nich w pierwszym rzędzie wyrobienie w ludzie naszym przewodniej myśli politycznej. Samopomoc, opierając się na ludzie, nie uprawia jednak polityki klasowej i chętnie inne warstwy wśród siebie by widziała.

Na przewodniczącego powołany został posiedziciel p. Czajkowski z Morakowa, protokół prowadził p. E. Chrzanowski, stały urzędnik Samopomocy. Tenże wygłosił obszerny program działalności nowej organizacyi.

Sprawozdanie ze stanu kasv złożyli skarbnicy okręgowi pp. Żak z Gołańczy i Kubisz na okręg wągrowiecki. Obraz działalności komitetu organizacyjnego przedstawił pan Żak. Według jego sprawozdania Samopomoc liczy: w okręgu gołanieckim 29 oddziałów (towarzystw filijnych), w wągrowieckim 21, a okręg skocki nie jest jeszcze należycie zorganizowany. Członków jest razem mniejwięcej 5000. Ze sprawozdania wynikało także, że w poszczególnych oddziałach panuje działalność bardzo ożywiona. Lud chętnie uczy się historyi i literatury, pieśni i wierszyków, co wykazały osobne popisy.

Po wymianie zdań rozmaitych zakończono obrady. Przedtem jeszcze wyrażono p. Tesce jako wydawcy „Dziennika Bydgoskiego", który jest organem urzędowym Samopomocy, współczucie z powodu ostatniego wyroku, skazującego p. Teskę na kilkomiesięczną karę więzienną.

Jak odcięta gałąź nierychło odrasta tak wyrwana krajowi przewodnia jego część nieprędko inną siłą zastąpioną być może. Ci, na których leżały losy rzeczypospolitej, nie podołali im, ratowali swoje manatki jak owi majtkowie księdza Skargi, a okręt tonął... nie było ich komu zastąpić... Pierwsi oni uciekając od złej doli emigrować i wyprzedawać się zaczęli, zmieniać narodowość i zapierać się Polski.

J I. Kraszewski „Sto dyabłów."

* * *

W tem morzu zła, głupstw, niepewności i zwątpień, jakiem jest istnienie, jedna rzecz jest warta życia, niewątpliwa, mocna, jak śmierć — to miłość! Nic niema poza nią.

H .Sienkiewicz: Bez dogmatu.

* * *

Na widowni.

Świedkiem niezwyczajnego widowiska jest dziś Europa.

Nad Adryatykiem błękitnym, niedaleko romantycznego Dubrownika, zgromadziła się flota wszystkich nieomal mocarstw, aby króla niezwyciężonej Czarnogóry zmusić do odstąpienia od oblężenia twierdzy tureckiej.

Chwila dzisiejsza przypomina mimowolnie początek wojny na Bałkanie, kiedy to również z podziwem patrzano na Czarnogórę, gdy sama wypowiedziała wojnę padyszachowi tureckiemu. Był czas, że sama jedna Czarnogóra walczyła przeciw Turcyi, dziś stoi sama przeciw całej Europie.

Przeciw Turcyi walczyli Czarnogórcy sami niejednokrotnie, ufni w zwycięstwo dobrej i słusznej sprawy i w pomoc krzyża. Dziś w naszych czasach zmateryalizowanych prawie nie przypuszcza się tego, aby był na świecie naród lub rząd, którykby wierzył w to, iż walczących za dobrą sprawę Bóg wesprze.

A przecież kto zna Czarnogórców, ich wiekowe boje, ich bohaterstwo, ten wie, że u nich właśnie zachowała się żywa wiara w zwycięstwo sprawiedliwości.

Tylko to mając na uwadze zrozumiemy postawę, którą Czarnogórcy zajęli dziś wobec całej Europy. Niczem to nadzwyczajnem ani rzadkiem dla Czarnogóry, iż ryzykowała swój byt państwowy, jak niczem nadzwyczajnem dla Czarnogórca, gdy ryzykuje swe życie.

Dumną była odpowiedź, którą rząd przesłał admirałom okrętów blokujących czarnogórskie wybrzeże.

Przyrzekliście, powiedziano tam, że do naszej wojny z Turkiem mieszać się nie będziecie, jakżeż przyrzeczenia dotrzymujecie, grożąc nam użyciem przemocy, gdybyśmy od oblężenia nie odstąpili?

Czarnogóra jest w swojem prawie, a kto swego prawa broni, ten czyni dobrze, bo bezprawie i gwałt wiodą do upadku moralnego ludzkość i narody.

Czy Czarnogórcy mają prawo do Skadru?

Mają bezsprzecznie. Skadr był miastem słowiańskiem, świadczą o tem same pieśni ludu serbskiego o mieście i płynącej pod niem rzece Bojanie, świadczą nazwy wsi wokół Skadru słowiańskie i Skadr też należał do królestwa serbskiego za czasów Duszana Silnego.

Z miastem tem stało się, co się stało

kraju, walczył pod Ignacewem, gdzie mu konia ubito, lecz zaraz dzielny adjutant jego Franciszek Dąmbski z Konar swego mu oddał.

Póki się oddział nie zebrał, przesiadywał głównie wraz z wielu innymi tuż przy granicy u p. Józefa Grabskiego w Skotnikach.

Załączona fotografia pochodzi z późniejszych lat.

Raczkowski mieszkał w Paryżu, gdzie umarł w r. 1911.

Maryan Grabski.

Poznań, dnia 4 kwietnia 1913.

* * *

Nawięzując do powyższej wzmianki o ś. p. pułkowniku Wincentym Raczkowskim, zamieszczamy poniżej ciekawy artykuł z „Gazety Kujawskiej" z dnia 23-go listopada 1909 r. (nr. 140) p. t. „Z dawnych wspomnień".

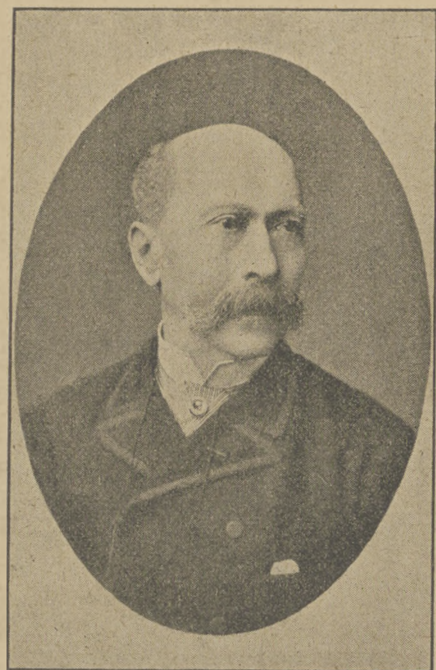
Zbliża się pół wieku od wybitnego dla narodu naszego faktu dziejowego, smutnych wypadków 1863 r. Liczba uczestników, przyjmujących w owym czasie czynny udział, zmniejsza się ciągle. Historya nie jest w możności objąć wszystkich czynów, między któremi ileż było prawdziwie bohaterskich? Obowiązek przeto tych, którzy albo sami przyjmowali udział, albo mają dokładną o nich wiadomość, ujawniać je i uświadamiać żyjące pokolenia.

Włocławek w r. 1863 przeznaczony został na rezydencyę naczelnika wojennego, generała księcia Witgensztejna. pomocnikiem jego był kapitan, późniejszy major Aleksander Szwarc, Kurlandczyk, inteligentny, ale karyerowicz. Robił on często wycieczki z oddziałem wojska, poszukując przyjmujących czynny udział w oddziałach zbrojnych lub podejrzanych w udzielaniu pomocy w powstaniu. W niedługim też czasie tak hotele, kolegium jak i śpichrze zbożowe włocławskie zapełniły się uwięzionymi.

Następujący epizod z działalności Szwarca, w którym przy całej swej umiejętności śledczej doznał zawodu, opowiada naoczny świadek.

W październiku 1863 r. do majątku Świątniki, własność p. Znanieckiego, b. oficera wojsk pruskich, przywiózł sąsiad Andre z Ossowa jakiegoś pana, którym jak się później okazało, była na one czasy wybitna osobistość: pułkownik Raczkowski, organizator oddziałowy na Kujawy i Mazowsze. Państwa Znanieckich nie było wówczas w domu, przyjmowała przybyłych panna Józefa Saniewska, siostra żony Znanieckiego.

Zaledwie p. Andre, pozostawiwszy p. Raczkowskiego, który czekał zjazdu organizacyi, wyjechał, nadeszła zatrważająca wiadomość, że oddział wojska rosyjskiego wkroczył do wsi i zbliża się do dworu. Raczkowski, widząc wszystkie sposoby schronienia się uniemożliwione, zaczynał odczuwać grożące mu niebezpieczeństwo; wtenczas młoda a energiczna i sprytna panna Józefa poleciła mu odgrywać rolę gospodarza domu, dawszy na prędce potrzebne wskazówki. Wkrótce nadjechał oddział wojska prowadzony przez Szwarca. Na przyjęcie jego wyszedł na ganek Raczkowski, a od-



Pułkownik Wincenty Raczkowski.

powiedziawszy twierdząco na pytania, czy jest gospodarzem domu, zaprosił oficera do pokoju. Szwarc, który już miał doniesienie od nieprzychylnych sprawie Niemców, gęsto w tych stronach osiadłych o pobycie w okolicy p. Raczkowskiego, niedowierzając, powtórnie zapytał obecną w pokoju pannę Józefę, czy to jest istotnie p. Znaniecki i żądał stwierdzenia podpisem na wygotowanej deklaracyi z poręczeniem osobą i majątkiem prawdziwości tego. Widząc jednak gotowość panny Józefy, która nie bacząc na skutki pochwyciła za pióro do podpisu, cofnął swoje żądanie, uprzedzając tylko, że p. Znaniecki musi pofatygować się z nim do miasta Lubrańca dla sprawdzenia osobistości.

W trakcie rozmowy p. Raczkowski, wziąwszy pęczek kluczy leżący na biurku, wypadkowo szczęśliwie wybrał właściwy klucz, otworzył je, wyjął z szuflady pudełko cygar i poczęstował Szwarca. Fakt ten pewności siebie, osłabił trochę jego niedowierzanie, stał się on rozmowniejszym, do czego p. Raczkowski władający językiem niemieckim jako także były pruski oficer, dostarczał wątku. Poczem razem wyszli na podwórze, gdzie żołnierze odbywający wszędzie rewizyę, już wynaleźli kilka koni jakby należących do powstańców i zbatożyli kolonistę poblizkiej wsi, który wypadkiem znalazł się w podwórzu. Szwarc obejrzawszy konie, kazał zwrócić cennego siwego ogiera araba, uznając, że nie mógł być użytym w oddziale powstańczym.

Raczkowski, odgrywając ciągle rolę gospodarza, o czem panna Józefa zdążyła już uprzedzić całą służbę, kazał chłopcu zaprządz do bryczki, aby udać się wraz z oddziałem do Lubrańca. Tymczasem panna Józefa sama pieszo, przez ogród i pola biegła już do Lubrańca, żeby uprzedzić burmistrza. Bez tchu prawie przybiegłszy do najbliższej wsi, zażądała koni, które też dostała, lecz dojeżdżając pod Lubraniec, dostrzegła zdaleka zbliżający się oddział Szwarca, zeskoczyła więc z bryczki i poleciła furmanowi wracać inną drogą, a sama zakopawszy w przydrożnej piaszczystej górze powierzone jej przez p. Raczkowskiego pieczęcie narodowe, jakie miała w kieszeni, znów biegła pieszo dalej do miasta i zdążyła jeszcze dobiedz do mieszkania burmistrza Hirszowskiego i zniewolić go, żeby poświadczył tożsamość Znanieckiego, wobec wahania sie grożąc mu skutkami pomsty narodowców. Załatwiwszy się z celem swego przybycia, chciała niepostrzeżenie wracać do domu, lecz oświadczono jej, że nie wypuszczają nikogo z miasta bez biletu wolnego wyjścia, udzielanego przez miejscoewgo dowódcę wojska, kapitana Iwanowa. Spełniwszy szczęśliwie i to wymaganie, bez spotkania się ze Szwarcem, uradowana, że Raczkowski uznany za Znanieckiego, puszczony będzie wolno, odszukała schowane pieczęcie i wróciła nazajutrz do domu.

Szwarc niewątpliwie dowiedział się później o podstępie, ale czy to, wstydząc się, że się dał tak podejść, czy z innego powodu mimo, że spotykał później w towarzystwie pannę Saniewską, nie okazał żadnej urazy, raz tylko wyraził się do jej siostry: „Mademoiselle en était éprise", (pani była nim zajęta) robiąc aluzyę do Raczkowskiego.

Nie widział, że Polski były zdolne do poświęceń nietylko w celach osobistych. W kilka miesięcy d. 5. lipca 1864 r. Szwarc z żoną w towarzystwie komisarza włościańskiego Kabłukowa także z żoną, prezesa komisyi włościańskiej Peuker oraz paru oficerów huzarów wyjechał łódką na spacer po Wiśle. Łódka ozdobiona była banderą wyhaftowaną rękoma dam rosyjskich z napisem „Utopja". W powrocie ze spaceru, zawadziwszy o łańcuch od berlinki wszyscy wpadli do wody, w której Szwarc z żoną, pani Kabłukowa oraz Peuker śmierć znaleźli. Szwarc jako znakomity pływak był już wprawdzie na brzegu, ale spostrzegłszy tonącą żonę pospieszył z pomocą i wraz z nią wciągnięty prądem wody pod berlinkę już się więcej nie pokazał.

Wspólny kamień grobowy na cmen-

tarzu włocławskim kryje zwłoki wszystkich.

Śmierć Szwarca stała się wyzwoleniem dla wielu więźniów politycznych, których miał pod śledztwem, a których nieludzko traktował własnoręcznie nieraz objawiając swoje niezadowolenie lub rozdrażnienie, ztąd wiadomość o jego śmierci budziła powszechne radosne objawy, ale te musiały być skryte, bo pociągały za sobą kary, nawet o śmierci jego głośnej rozmowy toczyć nie było wolno.

W chwilę po wypadku na Wiśle wieziono do Włocławka pod strażą jakiegoś więźnia; obywatela Kowalewskiego z Żydowa pod Lubrańcem spotkał na rogatce żydek, który biegnąc ku niemu z daleka wołał: „niech się pan nie boi, Szwarc już nie żyje."

Obiegała po Włocławku pogłoska, że jakiś chłop z pod Bobrownik, znalazłszy nad Wisłą długo poszukiwane ciało Szwarca, przywiózł je do miasta na wozie w deskach od gnoju; oburzona tem policya wsadziła chłopa do kozy za profanacyę takiej osobistości. — Prawda, że z chwilą śmierci Szwarca powstanie na Kujawach już słabło, wogóle jednak prześladowania, aresztowania i egzekucye znacznie się zmniejszyły, ale wspomnienie o Szwarcu na długo pozostało tak w Włocławku jak i w okolicy.

C. A.

Użyteczna publikacya.

W chwili gdy społeczeństwo przygotowuje się do walki wyborczej z okazyi zbliżających się wyborów sejmowych, pojawia się na półkach księgarskich nowa publikacaya p. Karola Rzepeckiego, znanego i zasłużonego autora dwóch tomów „Pobódki wyborczej." Jestto tej „Pobudki wyborczej" tom trzeci, a jak główny tytuł opiewa: „Historya ustawy wyborczej pruskiej, oraz wyniki wyborów do sejmu pruskiego z 1903 i 1908 r. na ziemiach polskich." Pierwsza to zatem większa publikacya zajmująca się przedstawieniem genezy i rozwoju, a raczej reakcyi pruskiego ustawodawstwa wyborczego. Owoc kilkoletniej pracy rzutkiego autora.

Dzieło to zawiera 128 stronnic tekstu wielkiego formatu i blizko 100 tablic statystycznych tudzież kilka map poglądowych, oraz podobizny posłów sejmowych.

Obfity i wyczerpujący materyał, który rutynowany w tego rodzaju pracach autor zgromadził, zużytkowany jest nader zręcznie i zestawiony przejrzyście, tak, że oryentacya w dziele żadnych nie przedstawia trudności. Zaletą tej książki, podobnie jak poprzednich tomów „Pobudek," jest ta okoliczność, że autor w tekście powołuje się na tabele statystyczne i je komentuje, wskutek czego suchy na pozór materyał liczbowy szczególniejszej nabiera wymowy.

Książka pisana jest przystępnie, stylem jasnym, pełnym werwy i temperamentu. Ustępy polemiczne, a raczej krytyczne, rozpatrujące wady i niesprawiedliwości przez samego Bismarcka napiętnowanego pruskiego systemu wyborczego ze szczególniejszą czyta się satysfakcyą tak ze względu na druzgocącą argumentacyę autora jak ze względu na przenikliwość, z jaką odsłania liczne potrzaski w systemie tym utajone.

Najważniejsza wszakże — to wnioski i wyniki, do jakich autor dochodzi, odnośnie do naszego w omawianych sprawach udziału i skutki zawsze przykre, a niekiedy wprost tragiczne, wynikające n. p. wskutek jawności głosowania dla zależnych od Niemców osobników polskich.

Najważniejszy w tej mierze jest rozdział dziewiąty, przedstawiający zwięźle, lecz wyczerpująco i szczegółowo stosunki wyborcze w Księstwie, w Prusach Królewskich, na Śląsku i na wychodźtwie. Obfity materyał liczbowy odnoszący się do spraw tam poruszonych ze szczególniejszą zebrano troskliwością.

Dodajmy jeszcze, że książka zawiera mnóstwo praktycznych informacyj tudzież regulamin wyborczy, wykaz głosów polskich w ostatnich wyborach itp., a poznamy, że jest ona dla wszystkich obywateli stojących w życiu publicznem użytecznem, dla członków komitetów wprost nieodzownem vademecum wyborczem i jako takie na gorące zasługuje polecenie.

Omawiana książka wyszła nakładem autora. Dział tekstowy drukowano w „Pracy," dział liczbowy w Drukarni „Dziennika Poznańskiego." Dzieło pod względem typograficznym przedstawia się wykwintnie.

Z TEATRU.

Benefis p. Morozowiczówny.

Żałuję niezmiernie, iż, ważnemi wstrzymany sprawami, nie mogłem być przytomnym na całem przedstawieniu „Kabotynów", trzyaktowej sztuki p. Mary Morozowiczówny, która nie zadawalając się laurami aktorskiemi, także w dziedzinie twórczości literackiej próbuje swego talentu. A talent dramatopisarski posiada niewątpliwie, czego dała dowód w trzecim akcie wspomnianej sztuki.

Akt ten — o pierwszym, którego nie widziałem, sądzić nie mogę, — tak pod względem budowy, jak pod względem intensywności napięcia dramatycznego prezentuje się wcale poważnie i z lichwą wynagradza za owo nagromadzenie mnóstwa niezręczności technicznej natury i zbędne zupełnie dygresye aktu drugiego.

Pozatem z uznaniem podnieść należy piękny, potoczysty, miejscami poetyczny język tej sztuki, zręczną i indywidualną charakterystykę ważniejszych figur oraz jędrny dyalog.

Sztukę grano bardzo dobrze. Główną rolę Hanki objęła sama autorka i benefisantka i dała kreacyę przekonywającą szczerością i intensywnością uczucia. Publiczność licznie zgromadzona gorąco oklaskiawła utalentowaną artystkę i zgotowała jej piękną owacyę kwiatową. Również reszta ról kobiecych w odpowiednich była rękach. Energiczną, bezceremonialną Wandą, mającą zarówno język jak serce na właściwem miejscu, była p. Górska i wywiązała się ze zadania poprawnie. Na miejscu była p. Janikowska jako naiwna i ostatecznie opuszczona kochanka, to samo należy powiedzieć o p. Drozdowskiej w roli Waniewiczówny. Z mężczyzn pod względem artystycznego oddania roli palmę oddałbym panu Böhlkiemu za świetny typ prawdziwego kabotyna. Jurka grał p. Kindler we właściwej sobie w tego rodzaju rolach suchej i chłodnej manierze. Pomniejsze role u pp. Kęckiego, Mierzejewskiego i Mastalskiego w odpowiednich były rękach.

R.

* * *

Benefis nadprogramowy.

Jakkolwiek w sezonie bieżącym odbyć się miały tylko cztery benefisy, Dyrekcya jednak, uwzględniając okoliczności specyalne, przyznała benefis dodatkowy dwojgu wybitnym sceny naszej pracownikom, mianowicie: p. St. Górskiej i p. Fr. Ryllowi.

Szczególne uznanie należy się tym

artystom. Oboje znamionuje talent wybitny, wielkie, szczere umiłowanie sztuki, a wreszcie nadzwyczajna sumienność i poważne traktowanie każdej roli.

Poważne? — spytacie może.

Jakże to, wszak zarówno p. Górska jak p. Ryll celują w odtwarzaniu postaci komicznych. Kreacye ich przedewszystkiem bawią, obliczone są na wywołanie śmiechu.

Lecz pamiętajmy, że nie jest to śmiech pusty. Przeciwnie, śmiech wywołany przez pp. Górską i Rylla płynie z parodyowania dobrze odczutej, trafnie zaobserwowanej prawdy. Komizm ich niema nic wspólnego z błazeństwem; jest w nim szlachetność i dostojność, jest styl czystej sztuki.

Z długiego szeregu ról, wykonanych w sezonie bieżącym przez dwoje tych artystów, przypomnimy tu tylko „Madame Sans-Gêne" i „Dulską" (p. Górskiej) oraz Gubernatora, odtworzonego przez p. Rylla (w komedyi Birińskiego: „Jak pan gubernator zrobił rewolucyę"). Śmiało powiedzieć można, że najpierwszorzędniejsze sceny — nie tylko polskie — z kreacyj takich mogłyby być dumne. Artyści nasi wykazali w nich, że w sztuce swej blizcy są mistrzowstwa, uwarunkowanego talentem, inteligencyą i pracą.

Na benefis pp. Górskiej i Rylla dana będzie znakomita komedya głośnego autora duńskiego Wieda: „Chluba naszego miasta".

Serdecznie im życzymy, by na przedstawieniu tem widownia teatralna zapełniła się po brzegi naszą wdzięczną i umiejącą cenić pracę — publicznością.

Wystawa rysunkowa Szkoły Wieczornej Tow. Przemysłowego w Poznaniu.

Prawdziwą i miłą niespodziankę sprawił nam Stary nasz Przemysł poznański, urządzając podczas świąt w lokalach swych przy ulicy Wilhelmowskiej 24 po raz pierwszy dla szerszej publiczności dostępną wystawę szkoły wieczornej, od lat wielu przez rzeczone Towarzystwo utrzymywanej.

W dwóch oddzielnych działach, mianowicie mularsko-ciesielskim oraz stolarsko-ślusarskim, oglądać było można liczne i piękne zbiory prac rysunkowych, które to bądź wedle wzorów, bądź gotowych modeli, albo też z własnej fantazyi przez uczniów szkoły wykonane zostały.

Z zamiłowaniem i zupełnem zrozumieniem potrzeb przemysłu i rękodzielnictwa naszego traktowano ze strony kierownictwa szkoły sprawę dla nas tak ważną, to też zabiegi nader pomyślnym wynikiem uwieńczone zostały. Wiele prac, głównie zaś w dziale dla stolarzy i ślusarzy, odznaczało się nietylko sumiennością i akuratnością



Fot. „Camera" Z. Śniegocki w Poznaniu.

Z wystawy rysunkowej szkoły wieczornej Tow. Przemysłowego w Poznaniu.

wykonania, lecz niemniej poprawnością linij i estetyczną pięknością kształtów.

Życzyć należy, by Towarzystwo Przemysłowe na raz tak trafnie obranej drodze wytrwać i w najbliższym już czasie dziedzinę swej działalności na dalsze rzemiosła rozszerzyć zechciało. Życzyć dalej należy, by majstrowie nasi, którzy — co z uznaniem przyznajemy — wystawę bardzo licznie zwiedzali, zabiegi Towarzystwa i uznać i wesprzeć zechcieli, posyłając tak uczni swych jako i czeladź jaknajliczniej na kursa szkoły wieczornej.

Wystawione przy tej sposobności prace prywatnego kursu rysunków i malowania pana Józefa Zeylanda słuszne budziły zainteresowanie nawet w szerszych kołach zwiedzającej wystawę publiczności. Wykonane podług wzorów albo też z natury, odznaczały się nietylko poprawnością rysunku, lecz głównie harmonią i świeżością barw.

Nasze ryciny.

„Król Władysław IV."

Na karcie albumowej dajemy dzisiaj reprodukcyę portretu naszego mistrza pędzla Jana Matejki, obrazującego króla Władysława IV.

Jak wiadomo, wielki ten nasz malarz, był twórcą nie tylko arcydzieł historycznych, lecz także płócien innych, w rzędzie których portrety mianowicie królów polskich pierwszorzędne zajmują miejsce.

Władysław IV., król polski i wielki książę litewski, był synem Zygmunta III. Wazy i Anny austryackiej; ur. 1595 r. panował od r. 1632 do r. 1648. Rządy jego przypadają na czas największej potęgi polskiej, ale też państwo doszedłszy do południa, zaczyna, jak słońce, schodzić ku zachodowi. Król Władysław IV. nie miał powodzenia. Z natury zdolny i rozważny, w naukach ćwiczony, przejęty wielkością zadania swego, nie mógł czy nie umiał przeprowadzić swoich zamysłów. Za młodu powołany na tron rosyjski, nie osiągnął korony carskiej, mimo zwycięstw wojsk polskich, tylko wskutek rozterki na dworze polskim; podczas wojny trzydziestoletniej zapraszany na pośrednika wojujących stron (za co Śląsk miał odzyskać), nie został później dopuszczony do tej czynności; chciał pogodzić różnowiercze sekty z kościołem katolickim w Polsce i zwołał ich przedstawicieli na naradę do Torunia, ale narada pozostała bez skutku; zamyślał o wielkiej wyprawie na Turków, znosił się w tym celu z Wenecyą i Papieżem, robił wielkie przygotowania, ale szlachta sprzeciwiała się wojnie, a Kozacy zwrócili się, zamiast przeciw niewiernym, na Polskę. Władysław dwa razy ożenił się: z Cecylią Renatą, córką cesarza Ferdynanda II. Habsburga (1637) miał z nią syna Zygmunta, który dziecięciem zmarł, i z Maryą Ludwiką, córką króla mantuańskiego, z którą dzieci nie miał. W chwili zgonu, w czerwcu 1648, doszły króla wieści o wielkim buncie Chmielnickiego i klęsce wojsk polskich na Ukrainie.

Chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie.

* * *

Smutni! chorzy! wy, zamiast cieszyć się i leczyć, wolicie wzajem siebie smucić i kaleczyć.

Z bieżącej chwili.



Dr. Schwartzkopf.

W chwili zamknięcia redakcyi niniejszego zeszytu „Pracy“ dowiadujemy się, że naczelny prezes W. Księstwa Poznańskiego p. Dr. Schwartzkopf podał się do dymisyi.

KRONIKA.

— **Wystawa przemysłowa w Toruniu.** Prace wstępne około urządzenia wystawy są w pełnym biegu. Dokonano już pomiaru ogrodu Wiktoryi i obszernej sali, na której wystawa mieścić się będzie. Gotowe są już także wszelkie formularze do zgłaszania się, regulamin wystawy i deklaracye do podpisywania funduszu gwarancyjnego. Komitet rozpoczął już wysyłkę tych papierów i prosi usilnie interesentów, aby jak najliczniej zgłaszać się zechcieli nie tylko jako wystawcy, ale także jako podpisujący fundusz gwarancyjny. Wystawa trwać będzie od 16-go do 27-go sierpnia b. roku.

Przy każdej wystawie głównie zastanowić się należy nad dwoma pytaniami: 1. Czy jest potrzebną? 2. Czy się opłaci? Na pytanie pierwsze bezwarunkowo odpowiedzieć trzeba potakująco. Życie przemysłowe w Prusach Królewskich śpi snem sprawiedliwego. Towarzystwa prawie bez wyjątku wegetują. Potrzebną jest koniecznie jakaś podnieta, jakiś dowód widoczny, że żyjemy, że się dźwigamy, że umiemy coś zdziałać jeżeli tylko chcemy.

Czy się wystawa opłaci? Jeżeli opłaciła się przed 20 laty i jeżeli wtenczas już przemysłowcy nasi ją chętnie obsyłali, to chyba tem więcej opłacić się musi obecnie, gdy zrobiliśmy znaczne postępy ekonomiczne. Chodzi tylko o to, żebyśmy coś pokazali, a widzowie się znajdą. Co było możliwem w Bydgoszczy i w Kościerzynie, musi być możliwem także w Toruniu, który ma warunki o wiele dogodniejsze.

Chciejmy tylko szczerze, a dzieło nasze udać się musi! W tej myśli zwracamy się po raz drugi do całego społeczeństwa polskiego, aby dążności nasze, tu na tym wysuniętym posterunku tak niezmiernie ważne, rzetelnie poprzeć raczyło. Wszelkich informacyj w sprawie wystawy udziela prezes Tow. Przemysłowego w Toruniu p. Maryan Barałkiewicz, właściciel drogeryi centralnej przy ul. Łaziebnej (Baderstr.)

Komitet.

— **Pomoc dajcie nam, rodacy!** Do miasteczek naszych, w których ludność polska jest biedna i przygnębiona i w najopłakańszych pod względem narodowym żyje stosunkach, należy **Rynarzewo** w powiecie szubińskim. Niemczyzna panoszy się tu i potęgą swoją przyciska nas zupełnie, a lud nasz ulega jej i obojętnieje. Nie mamy tu inteligencyi polskiej, ani zamożnego stanu średniego i tylko wytrwała praca jednostek ratuje to, co się jeszcze da uratować. Największą przeszkodą w pracy naszej jest brak sali do zebrań. Obcy nam jej nie dadzą, a swoi nie mają i dlatego tułać się musimy po ciasnych i przykrych lokalach, co na rozwój sprawy naszej bardzo ujemnie oddziałuje.

Stoimy wobec konieczności pobudowania własnej sali. Niestety uboga ludność tutejsza nie może sama zadaniu temu podołać, tem więcej, że nowy kościół budujemy. Mamy jednakże już grunt pod budowę sali i materyał tanio nabyć możemy, lecz potrzebna nam gwałtownie pomoc pieniężna. O tę pomoc udajemy się z prośbą gorącą do wszystkich rodaków, którzy pragną dobra sprawy naszej i którym zależy na tem, aby najmniejszy ułamek narodu naszego nie przepadł w morzu niemczyzny. Każdy, choćby najmniejszy datek, z wdzięcznością przyjmiemy, a pisma nasze prosimy o poparcie tej pokornej prośby naszej i otworzenie składek na cel wymieniony.

W imieniu Komitetu
Tomaszewski, organista.
Rynarzewo (Netzwalde).

— **Z Towarzystwa Ludoznawczego.** Wiceprezesem wybrany został poseł hr. Maciej Mielżyński.

— **Polskie Towarzystwo Esparantystów** urządza w bieżącym miesiącu **nowy kurs języka międzynarodowego Esparanto.** Dzień rozpoczęcia nauki będzie później podany. Kurs obejmuje 12 lekcyj. Członkowie z kursów poprzednich, którzy dla braku czasu lub z innych przyczyn całego kursu przejść nie zdołali, mogą również w noworozpoczynającym się brać udział. — Wspólne pogadanki i ćwiczenia w języku Esperanto dla członków kursów poprzednich odbywają się regularnie we wtorki i piątki w lokalu Towarzystwa przy ul. św. Marcina 68 (Resursa), gdzie również przyjmuje się zapisy na kurs nowy od godz. 8 i pół wieczorem. Pozatem przyjmuje zgłoszenia oraz udziela wszelkich objaśnień w sprawie Towarzystwa sekretarz p. J. Palacz, Rycerska 2 II.

— **Wystawa obrazów,** rzeźb, rysunków i projektów architektonicznych Towarzystwa Przyj. sztuk pięknych przy ul. Bismarka 8. winna na siebie baczną zwrócić uwagę czynników, interesujących się polską kulturą artystyczną. Wystawa otwarta w niedzielę od pół 12-tej do 4-tej, oraz w dni powszednie od 10-tej do 5-tej. Wstępne 50 fen., dla młodzieży 25 fen.

— **Odezwa do Polek!** Na pierwszej polskiej wystawie przemysłowej w Bochumie, która się odbędzie od 19-go do 27-go lipca 1913, chcemy pokazać także pracę kobiet polskich. W tym celu oddajemy Szanownym Rodaczkom odpowiednie miejsce zupełnie bezpłatnie. Chcemy pokazać z jednej strony, że Polki w dziedzinie robót ręcznych nie ustępują kobietom innych narodów. Chcemy to pokazać Niemcom tutejszym, którzy wciąż jeszcze fałszywe mają pojęcie tak o kulturze jak i o przemyślności naszej, którzy pod wpływem hecy antypolskiej i bezsumiennych szkalowań żywem słowem i w prasie nam wrogiej, uważają nas za naród mniejwartościowy. Z drugiej strony chcemy wystawionemi okazami pobudzić kobiety polskie, zwiedzające wystawę, do robót ręcznych, do przemyślności domowej, do pracy wzorowej na tem polu.

Spodziewamy się, że Szanowne Rodaczki zrozumieją doniosłość naszego zamiaru i ochoczem sercem poprą usiłowania nasze.

Wszystkie Panie z obczyzny i z kraju, które chcą pomódz nam w tej zbożnej pracy, bądź wystawieniem robót, bądź poparciem sprawy wystawy w kołach krewnych, przyjaciółek i znajomych, zechcą łaskawie podać swój dokładny adres zarządowi wystawy. Adresować prosimy: Jan Guzy, Bochum, Klosterstr. 4.

Zarząd Wystawy Przemysłowej w Bochumie.
J. Kierczyński. J. Guzy. E. Piechocki.

— **Bochum,** dnia 5-go kwietnia 1913. Niniejszem przedłużamy termin zgłoszeń na wystawę do 15-go maja 1913. Panów Przemysłowców, którzy nie otrzymali jeszcze prospektu wystawy, a chcieliby wziąć udział w wystawie, prosimy zgłosić się do biura naszego pod adresem: Jan Guzy, Bochum, Klosterstr. 4.

Zarząd Wystawy Przemysłowej w Bochumie.
J. Kierczyński. J. Guzy. E. Piechocki.

—**Chełmża.** 25-cioletni jubileusz w zawodzie akuszerskim obchodzić będzie dnia 13-go kwietnia współobywatelka nasza pani Anastazya Berg, która w tym czasie udzieliła pomocy pięciu tysiącom położnic.

Chełmżeniacy.

Nekrologia.

† **Ś. p. Jerzy Cienciała,** były poseł na sejm, zmarł dnia 5-go b. m. w Cieszynie na Śląsku austryackim w 79-tym roku życia. Nieboszczyk był jednym z najwięcej zasłużonych działaczy na polu narodowem, politycznem i ekonomicznem na Śląsku. Do pracy tej stanął przed laty blizko 50, gdy wśród ludności polskiej ks. Cieszyńskiego zaczął się budzić żywszy ruch narodowego i ekonomicznego odrodzenia. Z rówieśników tej pracy wymienić należy ś. p. Pawła Stalmacha i grono ludzi, grupujących się około „Gwiazdki Cieszyńskiej.“ Rolnik z zawodu i zamiłowania, ś. p. Jerzy Cienciała założył Towarzystwo rolnicze w Cieszynie, utrzymujące żywe i dobre stosunki z krajowemi towarzystwami. Na czele tej instytucyi stał blizko 44 lat. Pracą swoją zyskał sobie uznanie ludności polskiej na Śląsku; mimo przeciwnej agitacyi uzyskał mandaty do Rady państwa i sejmu krajowego. Pełnił służbę publiczną w szerokim zakresie; nie było prawie instytucyi narodowej na Śląsku, w którejby nie brał czynnego udziału. Pełnił też obowiązki członka rady szkolnej okręgowej, wydziału drogowego, kuratora szkoły rolniczej w Kocobędzu i szkoły rolniczej zimowej w Cieszynie. Cześć Jego pamięci, spokój Jego duszy! — **Ś. p. ks. Józef Knapen,** ojciec duchowny i opiekun naszych wychodźców w Danii, zmarł dnia 1-go b. m. w sile wieku w Maribo na wyspie Laaland. Strata to wielka i niepowetowana. Cześć pamięci gorliwego misyonarza i przyjaciela Polaków. — **Ś. p. ks. dziek. Henryk Ring.** W lazarecie Juliusza w Rybniku zm. dn. 1-go b. m. 1913, ś. p. ks. dziek. H. Ring, przeżywszy lat blizko 85. Urodzony dnia 10-go lipca 1828 w Albrechtsdorf, wyświęcony został księdzem 1-go lipca 1852. Dożył więc 60-lecia, tak zwanego dyamentowego jubileuszu kapłańskiego. Był podczas największej części życia swego duszpasterzem parafii jedłownickiej, jej prawdziwym ojcem duchownym i dobrodziejem.

Lud polski na Górnym Śląsku miał w nim szczerego opiekuna i przyjaciela, który nigdy nie zawodził.

Ś. p. ks. dziekan Ring niejedno czynił dla oświaty, tak religijnej, jako politycznej. Dobrodziejstw otrzymali poszczególni parafianie z jego rąk nie mało, a i cała parafia jedłow-

nicka jest mu do wdzięczności zobowiązana. Pogrzeb odbył się w sobotę, 5-go kwietnia. Niech odpoczywa w pokoju wiecznym! — Ś. p. **Stanisław Łyskowski**, senior powiatu inowrocławskiego, obywatel do ostatnich chwil życia swego czynny i gorliwy, znana nietylko w Inowrocławiu i Kujawach postać, komisarz rządu narodowego z roku 1863, zmarł dnia 29. z. m. w Inowrocławiu po krótkich i ciężkich cierpieniach, przeżywszy lat 76. Zwłoki złożono do grobowca familijnego w Pieraniu, dnia 2-go b. m. Niech spoczywa w spokoju w ziemi ojczystej, której przez całe życie wiernym był synem! — Ś. p. **Stanisław Sołtysiak**, dn. 25. z. m. w Poznaniu. — Ś. p. **Anna Guzińska**, dnia 25. z. m. w Gnieźnie. — Ś. p. **Stanisław Nawrocki**, dnia 25 z. m. w Trzemesznie. — Ś. p. **Wawrzyn Derkowski** 61 lat, dnia 25. z. m. w Inowrocławiu. — Ś. p. **z Pągowskich Kazimirzowa Mielęcka**, wdowa po pułkowniku z 1863 roku dnia 27. z. m. w Ostrowie w 76. roku życia.— Ś. p. **z Dalskich Pelagia Miękwicz**, dnia 28. z. m. w Szamotułach. — Ś. p. **Stefan Dankowski**, dnia 28. z. m. w Batkowie, przeżywszy lat 79. Pogrzeb odbył się dnia 31-go z. m. w Inowrocławiu. — Ś. p. **Michalina Kaja**, dnia 29. z. m. w Żninie w 19-ym roku życia. — Ś. p. **Tomasz Chwirot**, dnia 30. z. m. w Puszczykowie, przeżywszy lat 74. Pogrzeb odbył się dnia 3. b. m. w Wirach. — Ś. p. **Domicela Perlińska**, dnia 30. z. m. w Strzelnie, przeżywszy lat 77. — Ś. p. **Wera z Sobeckich Braunsdorffowa**, dnia 30-go z. m. w Szenkendorfie pod Berlinem. — Ś. p. **z Mikoszewskich Marya Hozakowska**, dnia 30-go z. m. w Toruniu. — Ś. p. **Bolesława Glabiszówna**, dnia 30-go z. m. w Poznaniu. — Ś. p. **Józef Grzelachowski**, dnia 27-go z. m. w Poznaniu, przeżywszy 76 lat. — Ś. p. **Telesfor Jauksch**, dnia 27-go z. m. w Strońsku, przeżywszy lat 46. — Ś. p. **Ludwik Skórzewski**, zgasł dnia 3-go b. m. w sile wieku w majątku swym Gołanicach pod Wschową. Nieboszczyk należał do bardzo pożytecznych pracowników w życiu naszem narodowem. — Ś. p. **Jan Mycielski**, właściciel Wydaw, prefekt poznańskiej Kongregacyi Sodalistów Maryi, mąż na wskroś prawy i pobożny, zmarł dnia 3-go b. m, we Florencyi. — Ś. p. **z Goeblów Irena Sobeska**, żona docenta filozofii na uniwersytecie Jagiellońskim dra Michała Sobeskiego, dnia 4-go b. m. w Warszawie, w 26-tym roku życia. — Ś. p. **Martyna z Grabianków Prawdzic Zaleska**, dnia 4-go b. m. w Sielcu. — Ś. p. **Edward Gmurowski**, dnia 2-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy 23 lata. — Ś. p. **Stefania Malska**, dnia 3-go b. m. w Berlinie, przeżywszy lat 16. — Ś. p. **Katarzyna Gordon**, dnia 2-go b. m. w Gościeradzu, przeżywszy 88 lat. — **Ś. p. Józef Schuster**, emerytowany nauczyciel główny, dnia 6-go b. m. w Poznaniu, w 84-tym roku życia. — Ś. p. **Teresa Skalska**, dnia 6-go b. m. w Kostrzynie. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Panu Miś-Różyckiemu.** — Notatkę o zeszłoniedzielnym teatrze włościańskim w Topoli pod Łobżenicą odebraliśmy za późno, już po zamknięciu redakcyi ostatniego numeru, więc zamieścić nie mogliśmy.

— **Panu Wacławowi S. na prowincyi.** — „Kuryer Warszawski“ Warszawa Krakowskie Przedmieście 40.

— **Pani S. w Szemborowie.** — Nagrodę wysłaliśmy dnia 28-go z. m. Niech się Szan. Pani upomni na poczcie miejscowej, lub też u listowego, który przynosi listy.

— **„Wiarusowi w Westfalii.** — Staropolskie: Bóg zapłać! za serdeczne słowa uznania dla „Pracy.“

— **Panu Stanisławowi R. na obczyźnie.** — Powieść wzmiankowana już zupełnie wyczerpana.

Nowe książki i treść pism.

— **Macierz Polska**, chcąc uczcić setną rocznicę zgonu wielkiego reformatora szkolnictwa polskiego, wydała książkę p. Michała Rollego p. t. „Tadeusz Czacki i Krzemieniec“. Autor zajął się zarówno osobą znakomitego pedagoga jak i jego dziełem: liceum Krzemienieckiem, a że przedmiot zna doskonale, nie opuścił nic ważniejszego, o życiu zaś młodzieży, o sądach uczniowskich, o gronie nauczycielskiem opowiedział obszernie i zajmująco. Całość obejmuje 8 arkuszy druku większego formatu, tekst zdobią liczne ryciny. Cena 1 K. 40 h.

— **„Przegląd Wielkopolski,“** pismo tygodniowe. Treść numeru 14-go: Zaproszenie do przedpłaty. — Revera. Ponad siły. — Z prasy francuskiej. — Szczyt. Polska prasa współczesna tu i na obczyźnie. — Łucyan Osten. Z podróży. — Dr. Stanisław Karwowski. Wirujące stoliki. — W. T. I. Z salonu Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych. — S. K. Z teatru. — Pod kreską.

Adres Redakcyi: Dolna Wałowa 1 (Biuro Związku Narodowego). Adres **Ekspedycyi:** Rycerska 38, — **Przedpłata:** Ćwierćrocznie na poczcie 2 mk., z odnoszeniem do domu 2,25 mk., pod opaską 2,50 mk.

Z. L. Pakość.
List odesłany 21/1 13. do poczty tamże, został zwrócony. — Proszę raz jeszcze zgłosić się na pocztę.

R. 1000. Wągrówiec.
List posłany do Ekspedycyi dotąd nie odebrany!



Herold.
Herold, sługa a raczej urzędnik królewski, ogłaszał w wiekach dawnych wolę władcy uroczyście narodowi, wojnę lub pokój itp. Starożytni królowie greccy używali już w tym celu heroldów.

Odrobiny radości!

Czem pocieszyć samotne, opuszczone serce, przepełnione bolem? Żartem? Złośliwością? Współczuciem? Nie! Odrobiną radości!

Ach, jakie cuda działa w życiu trochę radości! Jest to kropla kosztownego balsamu, chłodzącego rany, ogrzewającego serca, łagodzącego cierpienia, wzmacniającego upadające siły! Ale musi to być radość prawdziwa, czysta i wzniosła. Nie wesołość hałaśliwa, krzykliwa, powierzchowna, która przypisuje sobie moc leczenia; główne zabawy i zewnętrzne rozrywki — to nie radość — przeciwnie, ranią one serce, zamiast ogrzewać, palą i ogłuszając na tę chwilę ból, nie leczą go wcale.

Radość czysta i prawdziwa, to promień słońca ożywczego, podczas kiedy powierzchowne zabawy, chociaż olśniewająco jasne, podobne są tylko do sztucznego oświetlenia.

Użyczenie sobie i innym odrobiny prawdziwej radości — jest świętym obowiązkiem, jaki mamy względem nas samych i naszych bliźnich, lecz obowiązek ten bywa często, niestety, zaniedbywanym. O ile zaś byłoby życie lżejszem i bogatszem, gdybyśmy go wypełniali! Lecz mało kto umie się rzeczywiście radować, a tem mniej udzielać radości innym. Łatwiej niejednemu dać innym wszystko, niż radość! Bogaci dawają pieniądze, silni moc, lecz swobody nie potrafi żaden z nich udzielić bliźniemu.

Musimy się przedewszystkiem starać o radość i swobodę ducha dla nas samych. Jest to albo bardzo łatwem, albo bardzo trudnem; kto dar ten otrzymał już w kołysce, ten nie potrzebuje się o niego starać, posiada już od urodzenia to, co inny dopiero zdobywać sobie musi. Kto ma troszeczkę skłonności do ideałów — (większa część ludzi gardzi ideałami) ten wszędzie znajdzie odrobinę radości. Ciche, wewnętrzne rozkoszowanie się cudami przyrody i sztuki, której wpływ kojąco nieraz działa, zapał i uniesienie dla wszystkiego, co piękne i prawdziwe, odczuwanie cudzego szczęścia — otóż to są podstawy czystej, wzniosłej radości.

A kto skarb ten posiada, ten nie tylko, że udzieli go innym, ale nadto potrafi być najodpowiedniejszym nauczycielem i przewodnikiem młodzieży. Bo młodość jest więcej niż wiek dojrzały, zdolna do radowania się, obowiązkiem więc rodziców jest — zdolność tę wzmocnić i zachować.

A kto ma radość i swobodę w sercu, niech jej udziela innym! Nie potrzeba być członkiem „Towarzystwa Słonecznego", które w Ameryce i w Anglii zobowiązuje tysiące członków do wyświadczenia komuś codziennie jakiejś przyjemności lub oznajmienia dobrej nowiny, można i bez przymusu takiego zobowiązania się iść za popędem własnego serca i starać się o to, aby inni ludzie też mieli trochę słońca w życiu! Bądźmy uprzejmi, dobrzy dla bliźnich, bierzmy udział w ich cierpieniach i szczęściu! Obojętnością grzeszymy nieraz względem innych, czasem też z obawy, aby nas nie wyszydzono lub nie nazwano dziwakami. Członkowie „Towarzystwa Słonecznego" pełnią rzeczywiście dobre uczynki; zanoszą oni do szpitali chorym kwiaty i dzieciom zabawki, odwiedzają samotnych i opuszczonych, rozweselają smutnych, nie pytając, czy się to komu podoba, czy nie. Więc i my musimy przezwyciężyć wszelką obawę i nieśmiałość i okazać wpółczucie tym, którzy tego potrzebują; przekonamy się pewnie wnet, że usiłowanie nasze udzielenia radości i swobody wszędzie otwarte znajdzie drzwi. A jeżeli natrafimy tu i owdzie na niechętnych, jeżeli ktoś zamknie przed nami swe serce i nie chce, aby w niem radość zamieszkała, to jedno powodzenie zrównoważy dwa lub trzy niepowodzenia.

Nie wiele nas to przecież kosztuje: słowo uznania, współczucia, wspomnienie przeszłości, wszystko to są drobnostki, które w danym razie bardzo ważnemi stać się mogą. Jeżeli możemy dać więcej, mając słońce w własnem sercu, to stoimy już na wyżynie, na której panuje jasność, miłość bliźniego i szczęście. Dar prawdziwego, złotego humoru jest drogocennym skarbem, którego na korzyść bliźnich użyć należy i last not least ma ten, któremu przeznaczenie majątek dało, możność uszczęśliwiania innych. Co prawda — jednak wtenczas tylko, jeżeli uprzejmość serdeczna i delikatne poczucie taktu, wobec najniżej nawet stojącego, towarzyszą pomocy.

Empa.

Dział kobiecy.

Rozwój piękności kobiecej.

W kołach tegoczesnych artystów i estetyków toczą się nieraz debaty nad pytaniem, czy rozwój umysłowy i fizyczny kobiet w naszej epoce nie ma ujemnego wpływu na ich piękność. Mowa tu naturalnie tylko o tych kobietach, które oddawają się jakiemuś zawodowi, lub które poświęcają się sztuce, lub naukom.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że powstał nowy typ kobiety. Chcąc jednak odpowiedzieć na pytanie, czy dorówna dawniejszemu pod względem piękności, trzeba najpierw wyjaśnić, na czem polega piękność kobiety!

Pominąwszy wszelkie estetyczne dociekania i fizyologiczne szczegóły, można powiedzieć, że pięknością kobiety jest to, co nam się u niej podoba. Kobiety zmieniają się, ale dlatego nie uważamy ich za brzydsze, bo i nasze pojęcie piękności musi się rozwinąć. Trzeba tylko mieć odwagę przyznania się do tego.

Przedewszystkiem chodzi o jasność pojęć. Bezwiednie żyjemy jeszcze wszyscy pod wpływem sztuki greckiej. Oceniamy piękność naszego czasu podług ideałów, które wytworzyli sobie starogreccy plastycy w dawniejszych epokach, pod zupełnie odmiennemi warunkami życia kobiet. Owe ideały polegały głównie na piękności formy, uwydatniały się zaś przedewszystkiem w postaciach bogiń, wystawionych w świątyniach. Nie miały więc przedstawiać ziemskiej, żywej piękności kobiecej. Jeżeli można jeszcze przypuszczać, że greccy plastycy zużywali najpiękniejsze rysy żywych modeli na dzieła pomnikowe, to z drugiej strony nie należy zapominać o tem, że typ kobiety spartańskiej, lub ateńskiej zupełnie odmiennym być musiał od typu naszych kobiet dzisiejszych. Greckie kobiety żyły w swoich domach i zwykle żadnego nie posiadały wykształcenia. Ztąd owa mała czaszka i nizkie czoło, które należą do najważniejszych warunków starogreckiej piękności kobiecej. Tak czaszka jak i czoło wywierają, podług prawa fizyologicznej koordynacyi stanowczy wpływ na resztę rysów twarzy.

Byłoby więc wielkim z naszej strony błędem, gdybyśmy ocenienie dzisiejszej piękności kobiecej opierali na wzorach piękności dawnych Greczynek. Sławny kanon Polykleta, podług którego długość głowy wynosić ma osmą część długości ciała, jest, jak wszystkie inne, całkiem urojony. W rzeczywistości odróżnia się, jak wiadomo, rozwój lewej strony inaczej aniżeli prawej; pomimo jednak tej niesympatycznej budowy istnieją piękne kobiety. A przecież wiemy z doświadczenia, że kobiety o idealnych proporcyach mogą być brzydkie i wszelkiego pozbawione wdzięku.

Pomimo niezmiernego wpływu, jaki grecka plastyka uzyskała od początku Odrodzenia, widzimy, że nowoczesna sztuka, w najrozmaitszych epokach, wytworzyła własne, zmieniające się ideały piękności kobiecej. Emancypacya ta posunęła się tak daleko, że często niezwykła budowa ciała pewnych modeli stała się miarodajną dla smaku całego pokolenia. I tak mamy spadające ramiona, zbyt długą szyję i wązką klatkę piersiową chorej na płuca Simonetty Catanei, którą Boticelli uwiecznił w swojej cudnej Wenerze.

Tem więcej możemy typ kobiety, rozwijającej się obecnie, nazwać pięknym, pomimo że odróżnia się od klasycznego. Obecny typ bowiem nie odznacza się bynajmniej uwydatnieniem pewnych chorobliwych odznaków, przeciwnie odzwierciadla normalne skutki wyższej umysłowej i fizycznej kultury.

Mózg tegoczesnej wykształconej kobiety zawiera więcej wiadomości oraz idej, niż mózg dawnej Greczynki. Stosownie do tego zmienia się kształt czaszki, co znów pociąga za sobą zmianę wszystkich kątów twarzy. Wyższa inteligencya i czynność we wszystkich prawie zawodach życia ludzkiego, nadawają twarzy tegoczesnej kobiety zupełnie inny wyraz. Już samo jej spojrzenie mówi o głębszem życiu wewnętrznem. Z drugiej zaś strony przyczyniają się ćwiczenia sportowe do lepszego i harmonijnego rozwoju ciała.

W wielkich, międzynarodowych miejscach leczniczych, albo między portretami amerykańskich mianowicie dam, ubiegających się o palmę pierwszeństwa na konkursach piękności, zwracają czasem na siebie uwagę naszą typy kobiet, łączących w sobie wzrost z harmonijnym rozwojem, wdziękiem, energią, zręcznością i inteligencyą. W tych kobietach pełnych pulsującego życia zapowiada się kobieca piękność przyszłości. Z marmurowemi arcydziełami, które wytworzyło dłóto greckie, nie mają one nic wspólnego, lecz urok, jaki na nas wywierają, o tyle jest większy o ile bardziej odpowiadają naszemu uczuciu i przekonaniu.

Nie można dosyć powtarzać, że piękność jest czemś względnem, zmiennem, że miary jej należy szukać nie tyle w niej samej ile w duchu obserwującego. Obok przymiotów fizycznych i umysłowych kobiety, odgrywa niepoślednią rolę przy wrażeniu, jakie wywołuje, także zagadkowa, nieuchwytna i nieokreślona atmosfera, otaczająca całą jej istotę.

Tegoczesni psychologowie twierdzą, że tylko te kobiety, które uważamy za brzydkie, mogą wzbudzać głęboką i trwałą namiętność. Pociągająca ich siła nie polega na przemijającej piękności ciała, tylko na uroku ich uśmiechu lub spojrzeniu. Niektórzy estetycy odmawiają modnej kobiecie wogóle wszelkiej podstawy fizycznej piękności. Podług twierdzenia Cennino Cenini zaprzecza ciało kobiety wszelkim prawom proporcyi. Larisch dowodzi, że wszystkie prawie kobiety mają za krótkie nogi. Schoppenhauer występuje również ostro przeciw „krótkonogim" istotom, co mu jednak nie przeszkadzało być wielkim wielbicielem kobiet.

Inny, znany i sławny estetyk Jean Finot wykazuje, że wszystkie te powtarzane i rozpowszechniane dowodzenia zbija rzeczywisty rozwój tegoczesnej kobiety. Dzisiejszy typ można nazwać pięknym nietylko dlatego, że odpowiada wymaganiom i gustowi naszego czasu, ale także dlatego, że uwydatnia i te przymioty, które muszą służyć za podstawę objektywnemu ocenieniu piękności. Porównywując najdoskonalsze typy piękności, wytworzone przez rozmaite epoki, dochodzimy do przekonania, że pomimo różnicy pod wielu względami, pod jednym przecież są sobie równe, a mianowicie: wyrażają zupełne zdrowie ciała i umysłu. Typu Boticelli'ego nie możemy tak samo zaliczać do tej galeryi piękności, jak ideałów dzisiejszego malarstwa dekadentów. Ale tegoczesna kobieta może mieć pretensyę należenia do niej.

W zastosowaniu hygieny stoi ona o wiele wyżej od dawniejszych kobiet.

Głównem zaś znamieniem tegoczesnej kobiety jest wyższe uduchowienie,

nadające rytmowi jej ciała dużo szlachetnej dumy. I to właśnie wielkim jest urokiem. *M. P.*

Jeżeli los pod nogi...

Jeżeli los pod nogi
Nie samo śle ci kwiecie,
Rozejrzyj się wśród drogi,
Rozejrzyj się po świecie!
Ach patrz, patrz sercem w koło
I sercem słuchaj bacznie:
Tutaj ktoś chyli czoło,
A tam ktoś łka rozpacznie.
Ktoś więzy swoje targa
I do krwi rani dłonie,
Tu cicha płynie skarga,
A tam nienawiść płonie.
Ktoś ręce w bólu łamie
I z oczu łza wytryska,
Ktoś w szale wznosi ramię,
A w ręku nóż połyska...
Więc jeśli los pod nogi
Nie samo śle ci kwiecie,
Rozejrzyj się wśród drogi,
Rozejrzyj się po świecie!
A gdy porównasz wtedy
Twój los z tysiącem ludzi,
To małość twojej biedy
Do czynu cię obudzi.
O, idź, na znojnem czole
Kojące połóż ręce,
Z serc, z dusz rwij chwast, kąkole,
Pociechą bądź w udręce!
I wiedź ku Panu Bogu
Tych, co od niego stronią...
Gdy smutek na twym progu
Patrz, dobroć twą jest bronią!

Paula Wężyk.

Instynkt i przeczucie serca są w życiu czynnikami wagi pierwszorzędnej. Kochająca i dobra kobieta w trudnych okolicznościach czasem lepiej sobie poradzi, aniżeli — mądry, a niepraktyczny mężczyzna.

* * *

Niejeden się pięknością jakoby paw puszy,
Ale piękność bez cnoty, to ciało bez duszy.

* * *

Z braćmi w szeregu stań na wspólnej roli,
Do pracy wspólnej, nie do skarg i waśni;
Pomóż im dźwigać brzemię ciężkiej doli,
A bratni uśmiech czoło ci rozjaśni.



Ucieczka strapionych.

Z dziedziny hygieny.

Błonica i dławiec.

Pod nazwami błonica, dyfterya, angina, krup rozumieć należy chorobę zakaźną i zarazliwą, niebezpieczną zwłaszcza dla dzieci. Choroba ta po polsku nazywa się błonica. Nazwa pochodzi stąd, że tworzą się w gardle, zwłaszcza na migdałkach owrzodzenia, wyglądające jak błony biało-żółte, które się poczęści dadzą ściągnąć. Mówimy o błonicy i dławcu dlatego, że ta sama choroba może się usadowić niżej tj. w krtani i wtenczas chore dziecko może się zadusić, jeśli się mu pomocy wcześnie nie udzieli.

Do niedawna jeszcze choroby te należały do najcięższych chorób dziecięcych. Śmiertelność była bardzo znaczna, bo na 100 chorych na błonicę dzieci umierało około 80. Dziś mamy już na błonicę lekarstwo, tj. surowicę leczniczą sprzedawaną w aptekach w małych flaszeczkach, którą lekarz wstrzykuje choremu pod skórę na plecach, brzuchu lub na udach. To lekarstwo tak jest pomocne, jeśli wcześnie się je zastosuje, że śmiertelność dzieci zmniejszyła się o trzy czwarte, to jest że dziś na 100 chorych na błonicę umiera 20 do 30. A i na krup czyli dławiec mamy dziś sposób leczenia bezpieczniejszy niż operacya, którą dawniej zwykle przedsiębrano, a która polega na tem, że robi się sztuczny otwór w tchawicy, tj. rurze oddechowej w środku szyi.

Błonica ma swój właściwy zarazek w kształcie pałeczki często na jednym końcu cokolwiek rozszerzonej. Zaraźliwość tej choroby jest bardzo wielka i co najważniejsze bardzo długo zarazki żyją w gardle i nosie chorego dziecka i mieszkających z niemi innych ludzi; nadto długi czas utrzymują się w sprzętach, na ścianach, na podłodze i naczyniach koło chorego się znajdujących. Zarazek błonicy przenosi się też za pośrednic-

twem ubrania, a nadto przez pokarmy i napoje zwłaszcza mleko, masło, ser itp. — Ztąd wynika bardzo ważna przestroga dla rodziców chorego dziecka i sąsiadów, tj. żeby chorego należycie odosobnić jak przy wszystkich innych chorobach zakaźnych, a nadto przez dłuższy jeszcze czas powinni ci, którzy chorobę przebyli i ich współmieszkańcy płukać sumiennie gardło albo wodą utlenioną, wodą z octem lub cytryną, kwasem bornym itd., stosownie do polecenia lekarza. Ponieważ zarazki gnieżdżą się przeważnie w gardle i to w tych błonach i owrzodzeniach, przeto bardzo ważną jest rzeczą, dla zapobiegnięcia szerzeniu się choroby odkażanie tego, co dziecko przy kaszlu odpluwa. Odkaża się najlepiej wodą karbolową. Jak najdokładniejsze zrobienie dezynfekcyi mieszkania, sprzętów, bielizny, odzieży i pościeli, naczyń, których chorzy używali, zabawek, któremi się bawili, będzie konieczne dla stłumienia choroby. Ta dezynfekcya musi być bardzo dokładna, bo zdarzały się wypadki, że jeszcze po upływie kilku miesięcy, a nawet roku zarazek ukryty gdzieś w szczelinie ściany lub podłogi był przyczyną wybuchu choroby często nawet u tych samych dzieci, które już chorowały.

Początek choroby jest bardzo gwałtowny. Dziecko dostaje dreszczy, potem gorączki, skarży się na ból w gardle tak, że mu trudno łykać nawet wodę. Szyja prędko puchnie, a w gardle powstają opisane biało-żółtawe wrzody. — Nieraz choroba jest tak gwałtowna, że do 48 godzin, a czasem i do półtorej doby dziecko umiera. Od szkarlatyny różni się błonica tem, że przy niej niema wysypki i, że choroba nie tak często jak przy szkarlatynie zaczyna się wymiotami. Po usunięciu niebezpieczeństwa życia u chorego na błonicę dziecka grożą jeszcze często różne choroby następowe i kalectwa nieraz trwałe jak cieknienie z uszu, głuchota, porażenie rąk i nóg, ślepota itd.

Na zakończenie dodamy, że wprawdzie ustrzedz się błonicy nieraz trudno, ale wyleczyć z niej chore dziecko dość łatwo, byle tylko nie zapóźnić się do lekarza o poradę. Wtedy mimo dzielnego lekarstwa nie wiele można zrobić. Nie zwlekać więc z żądaniem pomocy lekarskiej, nie czekać, aż dziecko już wielkiej gorączki dostanie, gardło mu spuchnie lub się już dławi, a z pewnością jeśli nie wszystkie chore dzieci, to przynajmniej trzy czwarte można uratować.

Nie uwłaczam ja obcych języków potrzebie,
Ale obcy dla obcych, swój miejmy dla siebie.

Cypryan Godebski.

Kraje skibę pług.

Kraje skibę zbożny pług
Przez ugory i zagony,
I na przyszłe złote plony
Niechaj szczęści Bóg — tym skibom,
Niechaj szczęści Bóg!

Tylko trzeba ufnie siać
Zdrowe ziarno w łan wytrwale,
Precz odrzucić próżne żale,
A przy skibie trwać — jak stróże,
A przy skibie trwać!

Wyjdzie z ziemi zdrowy kłos,
I zaszumią bujne łany
Na ten zagon ukochany
Z jasnym brzękiem kos — wieśniaczych,
Z jasnym brzękiem kos!

W cichy wieczór zagra dzwon
Na skończone znojne trudy,
Na spełnione tęskne cudy,
Iż się niesie plon — przyszłości,
Iż się niesie plon!

Ks. E. Nawrowski.

Studya gastronomiczne.

„Moje kochane osły", rzekł wstając główny osioł, bretoński bard i humorysta Leon Durocher, „obchodzimy dziś solennie pasowanie naszego kochanego młynarza, malarza Poilpot'a, na rycerza Legii honorowej, a że dzisiejszy nasz obiad odbywa się pod przewodnictwem pana Brillat-Savarin'a, przeto przywołajmy naszym jadłopisem przyjacielowi Poilpot'owi na pamięć owe czasy, w których jako sierżant gwardyi mobilizacyjnej mógł z największemi tylko trudnościami cieszyć się w Paryżu dobrem jedzeniem."

Mowę tę wygłoszono niedawno w „Moulina Sel." Jest to bardzo wesołe towarzystwo malarzy, rzeźbiarzy, rysowników, powieściopisarzy, uczonych, adwokatów i doktorów, które się tu zbiera kilka razy do roku na wesołą ucztę. Przewodniczącym jest zawsze jakiś duch przeszłości; Rabelois bywał najczęściej „spiritus rector" zgromadzenia. Po nim następowali: Apulejusz Musset, Wiktor Hugo, Cerwantes, Sterne, Molière, Beaumarchais, Boccaccio, Lafontaine i wielu innych sławnych ludzi. Posąg każdego zmarłego przewodniczącego, utworzonego ad hoc, zdobi stół. Uczestnicy zowią się „osłami", ten zaś, który urządza całą uroczystość, jest „młynarzem". Na znak zadowolenia krzyczą wszyscy i—a. Na czytanie listy obecnych odpowiada także każdy i—a, i każdy stara się o nadanie temu i—a charakter całkiem odrębny. Juliusz Claretie krzyczy zupełnie inaczej jak Anatole France, Paweł Marguerite krzyczy i—a barytonem, podczas kiedy Robida wysoki ma tenor. Jadłospis, prześliczny rysunek Leona Lebègue'a, miał tym razem przypomnieć menus z czasów oblężenia Paryża, gdy gomółka sera kosztowała 60 franków, gdy kiełbaski sprzedawano na wagę złota, a psy, koty, szczury i myszy najlepszych dostarczały pieczeni, nawet zwierzęta w ogrodzie zoologicznym pozabijano na ten cel, to też można było czytać na jadłospisach: pieczeń z zebry i sałata z trąby słoniowej, albo języki kocie z jarzynkami. W rzeczywistości jednak nie podawano nigdy tych fantastynych potraw, w rzeczywistości jedzono zupę z kapusty, skopową pieczeń, ser i owoc, więc owe wspaniałe jadłospisy na cześć Musseta, Berangera, Brantômes'a i t. p. są tylko fantazyami na papierze, które Lebègue bardzo ładnie ilustruje, a które z rzeczywistością nic nie mają wspólnego. I to jest właśnie największy urok tych obiadów, że są urządzone całkiem pod znakiem fantazyi, będącej podstawą humoru i dowcipu.

Wszystkie mowy podczas obiadu muszą być wygłoszone w duchu każdorazowego honorowego młynarza, więc odznaczają się wesołą prostotą, jeżeli n. p. na stole stoi posąg Rabelais'a (rzeźbiarz Moreau-Vauthier jest zawsze twórcą tych zabawnych ułudnych posągów); lecz są melancholijno-sentymentalne, jeżeli prezyduje Sterne; gastronomiczno-wyrafinowane zaś bywają wtenczas, jeżeli tak, jak niedawno, jest przewodniczącym honorowym Brillat-Savarin.

Tym razem odbyła się po obiedzie niezwykle ożywiona debata. Opowiadano, że Brillat-Savarin, który poza swemi wolnemi chwilami, poświęconemi gastronomii, był sędzią, nosił na posiedzenie senatu ukryte w fałdach swej roby bażanty; twierdził bowiem, że tym sposobem nabiera bażant więcej smaku dziczyzny. Niezwykła objętość pana sędziego i dziwna woń, jaka się z ubrania jego rozchodziła, podpadła jednemu z kolegów, i tak wydało się, w jaki niezwykły sposób pragnął Brillat-Savarin polepszyć mięso bażanta.

Czy to było nadużyciem władzy urzędowej?

Takie pytanie stawił jeden z najwięcej znanych i najostrzejszych prokuratorów paryskich.

I po ścisłem zbadaniu sprawy doszedł do przekonania, że Brillat-Savarin



Skrzydlaty rabuś czyli ofiara przemocy.

zasłużył na karę — bez uwzględnienia łagodzących okoliczności. Obrońca oskarżonego w świetnej swej mowie zbił wszystkie zarzuty prokuratora i w końcu sąd uznał wśród nieustających krzyków i—a pana Brillat-Savarina niewinnym.

Mój sąsiad Edmund Perrier był dyrektorem naturalno-historycznego muzeum w Paryżu; pan dyrektor przypomniał mi też sławne orzeczenie Brillat-Savarina: „Odkrycie nowej potrawy przyczynia się więcej do szczęścia ludzkości, niż odkrycie nowej gwiazdy!"

I, aby potwierdzić praktycznie to zdanie, urządza „la Société nationale d'Acclimatation de France" co rok wspólny obiad, na którym podawają się tylko nowo wymyślone potrawy. Pan Perrier urządzający te obiady i jadłospis z całą sumiennością gastronomicznego uczonego, opowiadał mi o rozmaitych zajmujących doświadczeniach i rezultatach, osiągniętych przy tej sposobności.

Ostatni obiad odbył się niedawno, a najważniejszą „nouveauté" była pieczeń z antylopy, która wszystkim podobno dobrze smakowała. I rozważano zaraz nad tem, czy nie byłoby możliwem urządzić hodowli antylop w lasach francuskich, jako zwierzyny przeznaczonej do polowania. Kuchnia zyskałaby w każdym razie bardzo na tem mięsie.

Przeszłego roku jedzono z wielkiem zaciekawieniem „Matelote de Pythons rosés de l'Inde". Ale żmija „Python" rozczarowała smakoszy. Za to omlet z strusich jaj miał by doskonały, tak samo jak i wątroba olbrzymiego żółwia (Croustades de foie gras de Tortue marine). Rekin pieczony na rożnie (Requin grille, maitre d'hotel) znalazł u niektórych uznanie, lecz smacznym podobno nie był. Próby z storczykami, mającemi zastąpić herbatę, wydały bardzo wonny i delikatny napój, dotąd jednak skończyło się tylko na próbie.

Ci gastronomiczni pionierzy kultury jedzenia tworzą tak zwane krańcowe lewe skrzydło kulinarnej gminy. Reszta należy do konserwatystów. Każdy smakosz uważa dziś starofrancuską kuchnią za najlepszą, należy to do dobrego tonu.

„Dobra kuchnia jest podstawą prawdziwego szczęścia", mówi mistrz Escoffier, najpierwszy dziś jeszcze w świecie kucharz.

A dobra kuchnia jest równocześnie dobrą starą kuchnią. Wielcy mistrze sztuki kucharskiej zyskali wszyscy sławę w zachowaniu tradycyi.

Celem zachowania dobrych, starych przepisów, celem podtrzymania czcigodnych tradycyj, utworzyła się niedawno w Paryżu czynna liga: „klub Stu". Chcąc zostać członkiem tego klubu, trzeba posiadać doskonały smak i — automobil, którym przez cały rok jeździć można po całej Francyi. Klub Stu pragnie przedewszystkiem zachować członków swoich od rozczarowań w podróży, dowiaduje się więc o adresy dobrych hoteli, zajazdów i restauracyj i ostrzega każdego przed złemi lokalami. Kto nie wypełnia pilnie i sumiennie obowiązku, kto fałszywe podaje wiadomości, kto złego nie odczuwa jako złe i na dobre nie zważa, tego wykreślają nielitościwie z listy członków.

Klub Stu odwiedza najchętniej małe hotele, tam bowiem znajduje każdy jeszcze najprędzej właściwą opiekę i stare, dobre zwyczaje. Tam gotują na świeżych produktach naturalnych, nie na preparatach chemicznych, tam nie znają gotowych sosów w butelkach, ekstraktów i konserwów. Tam przyjmuje właściciel hotelu swoich gości — tam goście podawają, przy spotkaniu, rękę kucharce i dziękują jej z zarumienioną od jedzenia twarzą, za dobry obiad lub kolacyę, i stamtąd wyjeżdżają syci i zadowoleni. Ach, te małe zajazdy nad drogą — te czysto nakryte stoły w altance — to dobre krajowe wino w piwnicy i potrawy, które dziś zupełnie tak samo są przyprawione, jak za czasów pradziada! Aby odkryć takie poetyczne kąty, pędzą automobile Stu, z herbem klubu na drzwiczkach przez całą, piękną Francyę! A gdy odkryją coś szczególnie dobrego, wtedy cieszy się cały klub

i natychmiast odbywa się wspólna wycieczka do małego hotelu. Szereg automobilów staje przed skromnym domkiem, ukrytym w cieniu drzew, i najwybitniejsze towarzystwo zapełnia altanki w ogrodzie.

Spotkałem się przed kilku dniami z prezesem klubu Stu, powieściopisarzem Ludwikiem Forest'em, który mi opowiadał, że dopiero od wojny 1870—71 znają Francuzi kiszoną kapustę (Choucroute). Zawdzięczają to Alzatczykom, którzy przenosili się tłumnie do Paryża. Montaigne widział w Niemczech ludzi jedzących kapustę, lecz nie miał odwagi spróbowania jej. Brillat-Savarin nie wspomina o kapuście ani słowem. Przez długi czas uważano kapustę za coś bardzo zwyczajnego, pospolitego, i byli tacy, którzy nienawidzili ją jako potrawę niemiecką. Bo szowinizm znalazł wstęp nawet i do kuchni. Ale zwolna zaczęto odkrywać coraz to nowe zalety w kwaśnej kapuście i uznano wszelkie jej przymioty. Dziś je każdy chętnie pogardzaną dawniej kapustę. Nie ma też powodu, dla którego by jarzyna ta, uchodząca tu i owdzie jeszcze za potrawę wieśniaków, nie miała znaleść drogi do lepszego towarzystwa! Znam jednego z członków klubu Stu, który właśnie zajmuje się zbiorem przepisów na potrawy z kiszoną kapustą dla swej własnej kuchni, chce je wszystkie wypróbować po kolei. Bo wszyscy członkowie tego klubu przywiązują największą wartość do własnej, doskonałej kuchni!

Paryżanin.

Przed wiosną.

Przedwiosenny świergot ptasi
Już w ogrodzie brzmi,
Przedwiosenny promień słońca
Na gałęziach drży.
Wietrzyk w polu ciepły dmucha
Przyjdzie wiosna wnet,
Cała ziemia rada słucha,
Skrzydlatego słucha gońca,
W złotem słońcu już się krasi
Drżenia idą het.

Już tak kędyś życie wraca
Stajał dawno śnieg,
Kędyś w wnętrzu huczy praca
Znikły lody z rzek.
Niebo czyste,
Przezroczyste,
Lazurowe całe,
Chmurki tylko
Z każdą chwilką
Słońce kryje, małe.
Niby ciepło, niby chłody
Ludzie się radują
W każdem sercu jakieś gody,
Ptaki je zwiastują.

Lecz są tacy, którym smutno
Smutno i boleśnie,
Wrócą mrozy, mówią oni
Za wcześnie, za wcześnie.
Dawno, dawno już czekamy,
Lecz to wszystko mary,
Biegną lata, za latami,
Chłód zwycięża stary.
Lepiej więcej już nie czekać,
Zapomnieć okrutno,
Zima zimę ciągle goni,
Smutno, smutno — smutno! —

***

Łakomy dwa razy traci.

(Humoreska).

Nad Wisłą mieszkał sobie kolonista niemiecki, którego nazwiska nie wymienię, bo to niedawno się zdarzyło, więc będę go nazywał Frycem. Fryc miał domeczek na wzgórzu tak, że chociaż Wisła wylewała, żadnej mu szkody nie zrobiła, bo tak wysoko nigdy nie dochodziła, a że miał też kawałeczek roli i szkapinę i krówkę i kozę i psa i kota, więc miał się nienajgorzej, to też żona jego Jetka dobrze wyglądała, a dwoje chłopaków Hans i Franc byli zdrowymi i jędrnymi, jakby ich z brukwi ustrugał. I był sobie Fryc szczęśliwy z swą rodziną — nie brakło mu kartofli, ani tytoniu do fajki, Hans i Franc, którzy mieli niezadługo rozpocząć swój zawód naukowy, to jest uczyć się abecadła, bawili się ochoczo, używając swobody życia wiejskiego, młodości, bizunów regularnie odbieranych i tym podobnych dóbr doczesnych.

Było to na wiosnę. Wisła rozlała się szeroko po polu i coraz bardziej i coraz szybciej przybierała. Fryc już od dawna nie pamiętał takiej wody, więc wyszedł przed chałupę i zaczął się wodzie przypatrywać. Niech się nikt temu nie zdziwi, że Fryc przypatrywał się wodzie, bo niema może ciekawszej rzeczy, jak bieżąca woda. Otóż i naszego Fryca bystry rozum odrazu całej tej wody pojąć nie mógł, więc gapił się i gapił, aż się i naprawdę zagapił; skurczył się w zygzak, jakby był w troje złamanym, ręce w tył wyprężył, oczy wytrzeszczył, gębę rozdziawił, aż fajka na ziemię upadła i tak stał jak wryty. Wyszła Jetka z domu i ujrzawszy męża tak zatopionego w myślach, dała mu, aby go rozbudzić, szturchańca i zapytała, w co się tak wpatruje? Przebudzony Fryc nic nie mówi, tylko wyciąga rękę naprzód i mówi: Patrz!

Patrzy się Jetka, wytrzeszcza oczy, aż nareszcie i ona z podziwu zakrzyknęła. Bo cóż zobaczyła? Na małem wzgórzu, stoi pochyła wierzba, a na tej wierzbie w samej koronie, gdzie z grubego pnia rzadkie rozchodzą się gałęzie, skulony siedzi — zając!

— Jak to być może? — zawołała Jetka.

— A no, tak! — wytłómaczył Fryc. — Zajączek uciekał przed wodą na wzgórze, a gdy stamtąd w dalszą chciał się puścić podróż, spostrzegł, że zewsząd jest woda, więc musiał zostać na miejscu, a gdy mu się woda zaczęła lać za kołnierz, wlazł po spróchniałym grzbiecie pochyłej wierzby aż do samej korony.

I tak też było.

— Więc teraz — ciągnął dalej Fryc — bez ceremonii zajączka schwycę, zabiję i będziemy mieli pieczeń!

— Zabić, upiec i zjeść, to mniejsza — odrzekła Jetka — ale wprzód trzeba go schwycić! Dojść do wierzby nie morzesz, bo za głęboko, a łódki nie mamy.

Nic na to nie odpowiedział Fryc tylko poszedł do chaty i za pomocą Hansa i Franca wyniósł ogromną dzieżę, w której ojciec Jetki, piekarz, ciasto na chleb dla połowy miasta zarabiał, i spuścił ją do wody, następnie wziął do ręki łopatę, zamiast wiosła i odbił od brzegu.

Teraz kolej gapienia się przyszła na Jetkę. Podziwiała ona w duszy bystry rozum męża i odwagę jego rycerską, a Hans i Franc z całą siłą miłości braterskiej chwycili się za łby, aby się serdecznie poczubić i przez to lepszego nabrać apetytu na tę wonną pieczeń, o której dotychczas tylko głucha wieść ich dochodziła.

Tymczasem Fryc zbliżał się do wierzby, łódkę czyli raczej dzieżę nakierował tak, że prąd wody do wierzby ją przypierał, a ona odpłynąć nie mogła, następnie złożywszy łopatę zaczął gramolić się na wierzbę.

Zajączkowi biednemu na płacz się zbierało. Jest to wrodzone wszelkiemu stworzeniu uczucie, że w niebezpieczeństwie zapomina o nieprzyjaźni i najdziksze zwierzęta zapominają wtenczas o swojej srogości, a i człowiek nad nieszczęśliwem zwierzęciem litować się powinien, a nie pastwić. Zajączek widział zbliżającego się Fryca, wyczytał w jego oczach, że na miłosierdzie jego niema co liczyć, przeczuwał także, że i prawo zakazujące o tym czasie polować na szaraki, nie obroni go przed łakomym; więc w niemej rozpaczy o-

glądał się wokoło, czy nie znajduje gdzie ratunku, spojrzał w dół — w tej chwili poczuł palce Fryca, macające mu futerko i — hyc! — jednym susem skoczył w stojącą pod drzewem dzieżę, a wskoczył nie w sam środek, lecz w jeden brzeg, przez co dzieża popchnięta okręciła się około drzewa i wesoło z prądem popłynęła naprzód, unosząc z sobą długouchego żeglarza, który jeszcze raz obrócił się na siedzącego na wierzbie Fryca, jak gdyby chciał powiedzieć: — Polecam sie łaskawej pamięci! — a potem najspokojniej popłynął dalej.

W pierwszej chwili Fryc o mało, że z przestrachu z drzewa nie zleciał, potem chciał coś myśleć, ale zgłupiał tak, że właściwie wcale nie wiedział, co się dzieje — patrzał więc w odpływającą dzieżę jak w tuza, widział jak zatrzymała się w oddali przy przeciwnym brzegu, jak tam zajączek wyskoczył z niej i poleciał, aż się za nim kurzyło, — widział, jak silniejszy prąd znowu dzieżę porwał ze sobą — wreszcie poczuł, siedząc na wierzbie, jak na koniu, że woda już mu nogi opłukiwać zaczyna. — Oj źle, mospanie, źle! — pomyślał sobie Fryc i to też było jedynie, co myśleć był zdolny.

W nie mniejszej rozpaczy stała Jetka nad brzegiem. Nie widziała ona sposobu wyratowania męża, a tu woda coraz bardziej przybiera i coraz wyżej mu sięga — wreszcie szczęśliwa zabłysła jej myśl: przecie koń w stajni wyratować Fryca może? Wyprowadziła więc konia, a że bała się wsiąść na niego, zaprzęgła go do krowy, wlazła na krowę i pędząc konia przed sobą, dopłynęła szczęśliwie do wierzby — i to było szczęściem Fryca. Zaraz też się zgramolił z wierzby i chociaż nie udało mu się wsiąść na konia, uchwycił go za ogon i tak przypłynął do brzegu. Fryc przemaczał całą odzież do nitki, zaprzepaścił dzieżę i łopatę, a za to wszystko grzmot usłyszał od żony, że lekkomyślny jak dzieciak, a Hans i Fryc, którzy na pieczonkę najbardziej się cieszyli, popełnili tę niedorzeczność, że najgorzej usposobionego ojca zapytali: jak też to pieczony zając smakuje, i zamiast pieczeni dostali mydło.

Takie to skutki łakomstwa!

Bo kto do tyla duszę swą zuboży,
Że już z niej zetrze nieśmiertelne piętno
I dobrowolnie w prochach się położy,
Jak samobójca pierś splamiwszy smętną:
Wart, by go zdeptał praw skrzywdzonych mściciel,
I nawet pamięć jego będzie wstrętna.

Adam Asnyk.



Miłosny szept.

Przepraszam.

Szła wolnym krokiem, uginając się pod ciężarem niesionego węzła z bielizną.

Przechodził obok student, potrącił ją w przejściu, uchylił czapki i rzekł:

— Przepraszam!

— „Przepraszam?" — Wyraz ten słyszała w życiu swem po raz pierwszy.

Nie przeprosiła jej matka, gdy, umierając, pozostawiła ośmioletnią sierotę opiece ojca — pijaka. Nie przeprosił jej grabarz, kryjąc ziemią trumnę opiekunki. Nie przepraszał jej ojciec, bijąc za każdą swawolę dziecięcą, każdy uśmiech weselszy, słowo głośniejsze.

Nie przepraszała jej „pani," która ją wzięła do posługi i oddała jej opiekę nad dziećmi i całą pracą gospodarską.

Nie przeprosił jej później „mąż," gdy ją opuścił, wyjeżdżając do Ameryki po złoto i zostawiając ją z dwojgiem drobiazgu samą.

Nie przepraszało jej „życie," poniewierając nią od powicia, popychając ją często tak silnie, że dech zamierał w jej piersi.

A dziś, gdy złamaną pracą i bólem potrącił lekko w przejściu ten chłopiec, uchylił czapki i rzekł:

— Przepraszam!

Więc są inni ludzie, inne zwyczaje, inny świat, inne życie... Jak to od niej daleko...

Szła dalej, zadumana, z dziwnemi myślami, gdy usłyszała głos woźnicy:

— Na bok!

O tak, tak... „na bok" — to ona rozumie, to ona zna, zna dobrze. „Przepraszam" nie dla niej.

„Na bok, precz z drogi" — to ona rozumie.

Idzie dalej i myśli.

— A gdyby tak zejść z drogi na zawsze?

— A dzieci? — pyta ją głos wewnętrzny.

Idzie dalej, wraca do domu.

— Mamo, przyniosłaś nam chleba? — pytają na wstępie dzieci.

Już chciała na nie krzyknąć, by się jej usunęły z drogi, gdy nagle przypomniała coś sobie i rzekła cichym głosem:

— „Przepraszam" was dzieciny, nic nie przyniosłam. Dopiero jutro dostanę pieniądze.

Są ludzie, którym los, wyrządzając przykrość, zdaje się mówić grzecznie:

— Przepraszam!

Stokroć więcej tych, do których odzywa się brutalnie:

— Na bok! z drogi!

Których bardziej kochać należy?

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 13-go kwietnia 1477 traktat w Ołomuńcu zapewnia Władysławowi tron czeski. — 1603 zdobycie Dorpatu.

Dnia 14-go kwietnia 1703 rada w Malborgu oswiadcza się przeciw Szwedom. — 1809 Austryacy wkraczają do Polski. — 1831 bitwa pod Liwem.

Dnia 15-go kwietnia 1518 wjazd Bony do Krakowa. — 1831 powstanie w powiecie włodzimierskim.

Dnia 16-go kwietnia 1676 nadanie przywilejów szlachcie kurlandzkiej. — 1714 powstanie Żmudzi. — 1831 rzeź Oszmiany.

Dnia 17-go kwietnia 1585 wyzwoleni Gdańszczanie przysięgają na wierność. — 1577 pobicie zbuntowanych Gdańszczan. — 1744 powstanie w Warszawie pod Janem Kilińskim.

Dnia 18-go kwietnia 1576 wjazd Stefana Batorego do Krakowa. — 1831 bitwa pod Kurniałowem. — 1832 sprawa Polski w parlamencie angielskim.

Dnia 19-go kwietnia 1518 koronacya Bony. — 1773 protestacya na sejmie Tadeusza Rejtana. — 1809 świetna rozprawa z Austryakami pod Raszynem. — 1831 bitwa pod Boremlem. — 1848-go rozpoczęcie reorganizacyi W. Ks. Poznańskiego.

Humor i satyra.

Drożyzna.

Drożyzna! drożyzna!!
Wszyscy narzekają,
I źródła drożyzny
Na darmo szukają.

Ja nad tą drożyzną
Długo rozmyślałem,
I źródło drożyzny —
To wywnioskowałem.

Popatrzcie na ludzi,
Ile ich przy pracy?
Toż przeszło połowa —
Są sami próżniacy!...

Więc, aby wyżywić,
Każdy mi to przyzna,
Tyle darmozjadów,
Musi być drożyzna!...

* * *



Pani: Ach, jak pan wyłysiał.
Pan: Głupia głowa nie łysieje.
Pani: Dlatego też tak się dziwię.

Nasze dzieci.

I.

Rózia wrzeszczy, płacze, tupie nóżkami może z półgodziny, wreszcie ucicha.

— No! — powiada matka, przecież nareszcie będzie spokój.

— O nie!... to ja sobie tylko odpoczywam — odpowiada Rózia.

II.

Synek: Mamo, dlaczego nasz tatuś łysy?

Matka: Bo on dużo myśli.

Synek: A dlaczego mama ma takie długie włosy?

Matka: Dlaczego? — no nie bądź taki ciekawy!

III.

Mamusiu, czy ludzie w ziemi się rodzą?

— A to dlaczego?

— A bo stryj powiadał do tatusia: A skądżeś taką babę wykopał!

Pokuta za grzechy.

— Cóż tam, Józiu! żona wniosła ci ładny majątek w posagu?

— No! jak to wniesienie kto rozumie?

— Jakto?

— Prawda! wniosła mi majątek, ale moi wierzyciele wynieśli go zaraz!

* * *

Różna doskonałość.

„Obowiązkiem każdego,"
Wołał jakiś prorok,
„Stawać się coraza lepszym,
Doskonalszym co rok!"
— Masz słuszność!
Lichwiarz pewien
Odpowiedział na to:
— Doskonałość każdego
Trudu jest zapłatą.
Ja też do tego celu
Podążam miłośnie:
Mój trzosik z każdym rokiem
Coraz więcej rośnie!

* * *

Spokój w grobie.

Żona: Wyczytałam właśnie w gazecie, że na nowym cmentarzu można jeszcze bardzo tanio zakupić miejsce na familijny grobowiec. Dobrzeby było, żebyśmy i my także sobie miejsce kupili; przecież tak pięknie obok siebie spoczywać.

Mąż: Nie, nigdy! W grobie przynajmniej chcę mieć niezakłócony spokój.

* * *

To go gnębi.

Pewien woźnica podziękował panu swemu za służbę. Pan ten był człowiekiem bardzo opryskliwym i powszechnie znienawidzonym. Kiedy mu woźnica oznajmił, że odchodzi, zapytał się go, dlaczego to czyni.

— Dziękuję za służbę, bo ile razy wyjeżdżamy — odpowiedział woźnica — ludzie wołają:

— Oto jedzie cymbał!

Nie wiem jednak, do kogo się owo przezwisko odnosi i to mię bardzo gnębi.

* * *

Postępowe czasy.

W naszym wieku postępowym
Wszystko naprzód leci,
Dzisiaj nawet jakoś prędzej
Dorastają dzieci...
Żenią się też, chociaż jeszcze
Nie przyszła godzina
I zdarza się, że w pół roku
Zwiększa się rodzina.

* * *

Ucieszył się.

— Czego si śmiejesz, Mojsze?

— Bo ja dostałem katar.

— Nu to z tego jesteś kuntentny?

— A tak, bo tate powiedział, co ja nigdy nic nie dostanę.

* * *



A. Panie, to pachnie pojedynkiem.
B. Nie czuję nic, bo mam katar.

Ostatnia wola.

W domu przyszłego teścia i w obecności narzeczonej młody człowiek na krótki czas przed dniem ślubu objawiał w bardzo stanowczy sposób swoją wolę:

— Żądam — mówił — aby nasz ślub odbył się punktualnie o 11-tej, następnie, aby podano wykwintny obiad w poufnem kółku najbliższych krewnych i znajomych, a zaraz potem nastąpi wyjazd do Szwajcaryi i Włoch.

Po wyjściu narzeczonego, matka, zaniepokojona, odezwała się do córki:

— Twojemu przyszłemu, jak widzę, nie łatwo dogodzić, uważałaś, jak despotycznie objawił swą wolę?

— Wybacz mu to mateczko — z figlarnym uśmiechem odparła młodziuchna narzeczona — wszak to jego ostatnia wola!

* * *

Czego gęś dostarcza.

Nauczyciel: No, Kaziu, co mamy z gęsi?

Kazio: Pieczeń, wątróbkę i...

Nauczyciel: I...

Kazio: Tłuszcz!

Nauczyciel: Co jeszcze?

Nauczyciel (pomagając): No, cóż macie u siebie w łóżkach?

Kazio: Pluskwy, panie nauczycielu.

* * *

Nowy sposób.

Żona (po scenie małżeńskiej): A więc zgoda mężusiu, zgniewałam cię niesłusznie, żeby ci jednak dać sposobność odpłacić dobrem za złe, proszę kup mi już raz brylantową broszkę.

* * *

Moszek o rozumie.

— Powiedz mi Moszku, gdzie siedzi rozum?

— Un go nie siedzi, ale ciągle chodżi za interesami, a jak bi szedżał, toby nie był on rozum!

* * *

Sumienny świadek.

Sędzia miał przesłuchać świadka i napominał go, aby to tylko powiadał, na co sam patrzał i co słyszał, a nie to, co mu drudzy powiadali. Następnie przy pierwszem zaraz pytaniu, ile ma lat? odpowiedział świadek: „Tego nie mogę powiedzieć, bo chociaż przy mojem urodzeniu byłem obecny, to jednakowoż nie pamiętam daty i tylko mogę powiedzieć to, co słyszałem od drugich, że to miało być 3 sierpnia 1846 roku".

* * *

Przykładny tatuś.

— Mężu, na litość Boską, patrz, jakim strasznym jesteś przykładem dla naszego syna.

— Dlatego właśnie upijam się, niech widzi, że pijaństwo prowadzi do złego.

* * *

Sprytny.

— Czy to prawda, co opowiadają, że żenisz się pan w tym celu, by swoich wierzycieli zaspokoić?

— Albom ja głupi?! Wcale o tem nie myślę. Jeżeli moi wierzyciele chcą mieć pieniądze, to niech się sami żenią.

Rebus.



Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 17-go kwietnia włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie powyższego rebusa.

Szan. Czytelników prosimy, aby dla zaoszczędzenia opłaty pocztowej przesyłali rozwiązania zagadek **tylko na pocztówkach.**

Rozwiązanie zagadki z nr. 3-go:

1) Zabobon
2) analogia
3) moniuszko
4) omega
5) ryś
6) dynamit
7) oton
8) watykan
9) analiza
10) nicea
11) ivanhoe
12) eminencya
13) kameduła
14) rokoko
15) ó
16) lelewel
17) analfabeta
18) gramofon
19) racławice
20) elegia
21) churchhill
22) kolonia
23) inanguracya
24) emancypacya
25) golgota
26) ornat

CAŁOŚĆ:

Zamordowanie króla greckiego.

Tym razem posypały się trafne rozwiązania na stół redakcyjny jak z rogu obfitości. Dla braku miejsca nie możemy zamieścić długiego spisu osób, które nadesłały dobre rozwiązania.

Nagrodę otrzymali: pp. Lucyan Giersberg z Poznania, Zdzisław Brok z Chociczy pod Ślachcinem, Drowa Nizińska ze Szamotuł, Maryla Broniszówna z Otoczni w powiecie wrzesińskim.



Nasz kącik.

Wiosenka.

Zima odpłynęła za góry, za morza,
Bierze się do dzieła nasza wiosna hoża:
Gdzie postawi stopy, odrazu zielono,
Słońce blasków snopy śle na ziemi łono.
Hej, biegnie wiosenka polem, gajem, miedzą
I puka w okienka, gdzie leniuszki siedzą:
A na dwór! Przed chatką uprawiać ogródki,
Hej, żywo łopatką wzruszyć ziemi grudki!
Hej, kwiatki zasiewać, szykować zagonki,
A nucić, a śpiewać, jako te skowronki.
Z ptaszkami w zawody śpiewajcie co siły,
Z całej piersi młodej, jak wam kraj ten miły,
Jak na polskiej ziemi słodko płyną lata,
Jak się między swymi serce z sercem splata,
Jak to dawniej było, jak dziś, i jak będzie,
Gdy trud, wola z siłą złączą nasz lud wszędzie,
Jak to dawna chwała wróci wtedy pewno...
Oj, gromadko mała zanuć piosnkę rzewną!

P. W.

*

Odpowiedzi.

Hanka z nad Warty. Wypracowanie bardzo dobre. Po tak mile spędzonych świętach z tym większym zapałem pewnie uczysz się teraz i pracujesz, prawda? Szarotka z M. Żałuję bardzo, że przygotowanie do egzaminu, zabiera ci tyle czasu i że nie odbiorę tym razem twych ślicznych wypracowań, ale obowiązek przedewszystkiem, więc miły kwiatku, życzę ci powodzenia! Zośka Skrzydlewska. Berlin. Bóg ci zapłać kochanie za znaczki i śliczny liścik, najwięcej ucieszyła mnie wiadomość o dobrej cenzurce. Berlina nie znam, ale prócz moich miłych dzieci, mieszkających wśród jego murów, **nic** więcej tam mnie nie nęci. Teraz i Jurasia z opisu twego pokochałam, nim pójdzie do szkoły, naucz go czytać po polsku! Przysyłając fotografię, dołącz **koniecznie** pseudonim! Irenka Berkmanówna. Berlin. Witam serdecznie nową przyjaciółeczkę „Kącika"! Liścik bardzo ładnie napisany. Czy to Zosia Skrz. jest twą koleżanką? Zbieraj Irenko znaczki pocztowe dla sierót bułgarskich. Pieniążki odebrałam i przekazałam je „Dziennikowi Pozn.", ja bowiem składki nie zbieram. Gosposi, Śmieszce i Strzelcowi z Kuśnierza serdecznie dziękuję za śliczny obrazek — podobiznę, również im i całej gromadce dziatwy kuśnierskiej za życzenia świąteczne. Cóż to dla mnie za radość, że dzielny Strzelec i starszy braciszek dostali promocye! Tylko teraz nie mniej pilnie uczcie się chłopcy! Miły liścik z tak licznymi podpisami schowam na pamiątkę, a gdy znów kiedyś podobny otrzymam od drogiej gromadki, porównam postępy w piśmie i pilne dzieci jeszcze więcej kochać będę! Maryś i Kazik Ochenduszkowie. Lisko. Staszek pewnie w Sanoku uczy się pilnie, więc choć taki śliczny i długi list napisał, odpowiadam dziś wam tylko Marysiu i Kaziku, gdyż on i tak odpowiedzi by nie przeczytał. Dziś pewnie i wy otrzymaliście świadectwa? Jestem przekonaną, że są dobre. Czy już korespondujecie z owym chłopczykiem z Berlina? Biedny Kaziku, bardzo mi ciebie żal było, że cię ząbki bolały, czy teraz ból minął? Biały Orzeł. Golina. Dziękuję ci drogi chłopcze za znaczki, mam ich znowu dużo, a raz już kilkanaście tysięcy oddałam. Wypracowanie bardzo dobre, nie ustawaj w pracy nad sobą i budź ducha w tych, którzy drzemią! Raz jeszcze tym czytelniczkom i czytelnikom, którzy mi dawniej swe podobizny przysłali, donoszę, iż jeżeli sobie życzą być umieszczeni w „Kąciku", powinni mnie uwiadomić. Fotografie będę dawać na przemian: dziewczynek i chłopczyków w takiej kolei, jak je otrzymywałam. Piszę to dlatego, aby z tego powodu broń Boże, nie wynikły jakieś żale, lub zazdrości. O, bo to wada strasznie brzydka, co serduszka czyni niemiłemi Panu Bogu, więc zamknijcież je przed nią mocno! Uścisk serdeczny śle każdemu z dzieci kochająca przyjaciółka

P. W.

* * *

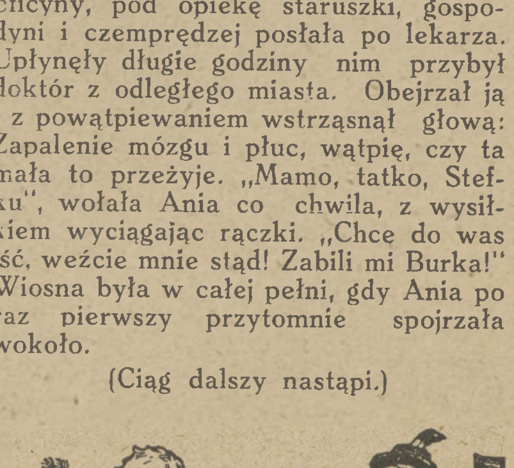
Prawdziwy obrazek z przed pół wieku.

(Ciąg dalszy.)

Cóż to za jedna? Gospodarz nie rad z tego zwrotu rozmowy odparł krótko: To towarzyszka moich córek, wzięta do ich zabawy. Lecz teraz ciekawy oficer zwrócił się wprost do Ani: Jak się nazywasz, ty mała? Ania śmiało i z dumą wymieniła swoje nazwisko. Pułkownik nic nie odrzekł, lecz młody adjutant zawołał: Ach, to więc jest doczka (córeczka) tego urzędnika polskiego rządu narodowego, tego buntowszczyka z Lipówki, któregośmy z samego początku złapali, pamięta pan pułkownik? Zapytany niechętnie skinął głową, patrząc na bladą buzię Ani, lecz ona nie mogła się już powstrzymać i głosem zdławionym łzami, rzekła. Mój ojciec spełniał swój obowiązek, był dobrym Polakiem i za to zesłaliście go na Sybir.

W tej chwili Burek słysząc drżący łzami głos swej małej pani, wybiegł z pod stołu, wskoczył jednym susem na krzesełko i wcisnąwszy łebek pod ramię Ani, badawczem okiem wodził dokoła. Młody oficer zaśmiał się głośno. Oho, nie daleko jabłko pada od jabłoni! Taka mała figa, a jak to już śmiało się odzywa, pewnie byś nas rada w łyżce wody utopiła, panienko, co? Ania milcząc spuściła główkę, tylko ramię jej mocno drżało, a Burek wsparty na niem, już zmiarkował, kto jest tego powodem i groźnie warcząc podnosił wargę, pokazywał ostre kiełki i błyskał ślepkami, wpatrzony w oficera. Po chwili skończono obiad i wszyscy powstali od stołu. Oficerowie brzęcząc ostrogami posunęli się ku pani domu, nizkie składając jej ukłony. Wtem Burek od tyłu zaatakował młodego adjutanta. Milczkiem skoczył i ostre zęby zagłębił w nodze nad butem. Oficer krzyknął i kopnął pieska. Burek skomląc żałośnie wywinął kozła i z krwawiącym łebkiem, zranionym ostrogą, przywlókł się do nóg Ani. Przypadła do niego, zanosząc się od płaczu, a Burek ślepkami zachodzącemi bielmem patrzył nań nią do ostatka. Kilka razy wstrząsnął nim kurcz bólu i wnet wyciągnął się nieżywy. W sali powstało zamieszanie. Adjutant pobladł, nie tyle z bólu, jak ze złości i wstydu. Kocia i Lucia, które Burka także bardzo lubiły, nacierały na niego rozżalone: Co pan zrobił? Jak pan mógł nam pieska zabijać? A to waleczny wojownik! Oficer nie wiedząc jak się bronić tym piąstkom ku niemu podniesionym, cofał się tyłem ku drzwiom, aż pułkownik nie rad z całej sprawy, zaśmiał się, wychodząc z nim razem i w towarzystwie gospodarza. Pole walki wcale nie chwalebne, rejterada co się zowie! Ania tymczasem zawinąwszy Burka w fartuszek, nie okryta niczem wybiegła do ogrodu, by go tam zakopać. Z początku odgarniała śnieg rączkami, lecz było to nad jej siły, a ostatnie zmartwienie zbytnio wstrząsnęło jej serduszkiem. Gdy Ania do podwieczorku nie przyszła, poczęto ją szukać i znaleziono wpół skostniałą bezprzytomną nad ciałem Burka. Zakopano go, a Anię odniesiono do domu. Biedna Ania złożona na kanapce otrzeźwiała i przeżyła straszną noc trwogi i tęsknoty. Co chwila zdawało jej się, iż malowane na obiciu postacie, zstępują ze ściany i groźne ku niej idą. Szukała wtedy około siebie Burka, a nie mogąc go znaleźć, przypominała sobie wśród łez, smutny jego koniec. Gdy Ania rano nie wstała, pani S. zajrzała do niej, a widząc jej rozpaloną buzię, w obawie o własne dzieci, kazała ją przenieść do oficyny, pod opiekę staruszki, gospodyni i czemprędzej posłała po lekarza. Upłynęły długie godziny nim przybył doktór z odległego miasta. Obejrzał ją i z powątpiewaniem wstrząsnął głową: Zapalenie mózgu i płuc, wątpię, czy ta mała to przeżyje. „Mamo, tatko, Stefku", wołała Ania co chwila, z wysiłkiem wyciągając rączki. „Chcę do was iść, weźcie mnie stąd! Zabili mi Burka!" Wiosna była w całej pełni, gdy Ania po raz pierwszy przytomnie spojrzała wokoło.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Wiktor Gomulicki

BÓJ OLBRZYMÓW.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

56)

(Ciąg dalszy.)

Krzyk poszedł po szeregach, grzmotowi podobny, gdy się zdaje z chmury na chmurę przetaczać.

— Kupą na nich!

— Jezus Marya!

— Wal, kto w Boga wierzy!

Szaleństwem prawie było iść przeciw nawale, kilkakroć liczniejszej. Ale książę przywykł już do szaleństw. Przywykli też do nich jego podwładni.

Duch, który ożywiał polskiego żołnierza, duch twórca zwycięstw, równający Dawidów z Goliatami — nie miał równego sobie w armii Napoleona. On sprawił, że i teraz Polacy zdawali się podwajać i potrajać, rzucając lęk na krzepkiego w ramieniu, lecz słabego duchem nieprzyjaciela.

Główne korpusy zwarły się ze sobą i zahaczyły, przez długi czas ani piędzi ziemi wzajem sobie nie ustępując. Jednocześnie bo bokach rozwinął się długi łańcuch drobniejszych, lecz gorętszych może jeszcze utarczek.

Tu, wśród zarośli, wzgórz i parowów, działać mogła tylko piechota. Żołnierz następował tu na żołnierza. Ściślej mówiąc, jeden żołnierz polski następował na kilku żołnierzy rosyjskich. Losy utarczek były jednakowe: kończyły się zawsze zwycięstwem Polaków.

Po prawej ręce od gościńca, Polacy zapędzili Rosyan do lasu, przepędzali przez las, zabiegali za nimi na brzegi rzeczki Uczy, aż do wsi: Myszyny, Artenków, Miasojedowa.

Na gościńcu położenie było wciąż bez zmiany. Co gorzej, nad miarę się przeciągało. Nie jednakowy duch ożywiał obie strony, ale zaciętość po jednej i po drugiej była jednakowa.

Wzbita kopytami koni kurzawa, żółtą chmurą nakryła walczących. Z każdą chwilą chmura gęstniała, stając się dla oczu ludzkich prawie nieprzenikliwą. Odnosił stąd korzyść Poniatowski, gdyż siły jego, sprawdzić się nie dające, wydawały się większemi.

Przyszła wreszcie chwila, gdy książę Józef zrozumiał, że jeszcze kwadrans, lub pół godziny tej mordowni, a z jego hasła: „Zwyciężyć, lub zginąć", tylko druga wypełnić się da połowa.

Nie osłabiło to ani trochę jego męstwa; może je nawet wzmogło. Jego błyszczące aramantowe szako z wysokiem, białem, hardo sterczącem piórem strusiem nie pochyliło się ani na pół cala. Jak drogowskaz, jak gwiazda przewodnia, jak symbol rycerskiego honoru i nieugiętości, błyszczało wysoko. niewzruszenie i zwycięsko — zawsze na przodzie, zawsze w największym piekła bitewnego odmęcie.

Książę narażał się, jak nikt z korpusu piątego. Jednak nie dosięgało go ostrze ani jednej szabli i lancy; kule muskały tylko jego wyniosły, wyzywający pióropusz. Śmierć chowa się przed tymi, którzy na spotkanie jej idą. Rzecby można, że lęka się ich i wstydzi.

W szeregach polskich stawało się już gorąco, duszno i ciężko,

Nagle Polacy uczuli, że przed nimi zaczyna być miękciej i luźniej — zupełnie, jakby nadpłynął skądciś strumień świeżego powietrza. Była to niespodzianka. Źródła niespodzianki nie znali; dochodzić go w wirze bitwy było trudno. Niebawem wszakże rzecz się wyjaśniła. Z okrzykami polskiemi mieszać się zaczęły francuskie i niemieckie.

Poniatowskiego wsparł Davout i wsparli Westfalczycy.

Teraz już sprawa gładziej poszła. Szyki rosyjskie, dotąd nieruchome, zaczęły jeśli nie cofać się, to przynajmniej rozstępować. Książę co chwila spostrzegał przed sobą szeroki wyłom; ledwie wszakże zdążył weń wstąpić, już się wyłom zamykał, i na nowo drążyć go należało. Jak w środku armii rosyjskiej tak i na jej skrzydle, tłumna, a nieustępliwa ćma żołnierstwa każdą lukę natychmiast wypełniała.

Gęsto padał żołnierz polski i francuski, niczem to wszakże było w zestawieniu z krwawem żniwem po stronie rosyjskiej. Korpus piąty posuwał się naprzód dosłownie: po trupach.

Przeciągała się rzeź i zdawała się nie mieć końca. W jednej wszakże chwili po stronie rosyjskiej coś dziwnego się stało. Szeregi zaczęły wychodzić z linii, krzywić się, łamać. Zaraz potem środek armii skłębił się i pogmatwał. Umilkły zajadłe, fanatycznej zaciekłości pełne okrzyki: „Ura!" — miejsce ich zastąpił niewyraźny chór głosów brzmiący tajemniczo i jakby żałośnie...

Odczuł zmianę tonu książę, ze zdwojoną energią natarł. Natarcie uwieńczył tryumf zupełny. Nieprzyjaciel stracił krzepkość muru: jak fala ruchliwa i niemocna, na boki ustępować zaczął.

Polacy polem bitwy zawładnęli.

Jeszcze chwila, jeszcze wysiłków nieco, i Poniatowski mógł już cesarzowi przez adjutanta swego obwieścić:

— Uticze wzięte. Lewe skrzydło nieprzyjacielskie złamane.

Wieść pozwoliła Napoleonowi rozejrzeć się nareszcie na „szachownicy." Popchnęła Wielką Armię do stanowczego, decydującego czynu. Zwycięstwu utorowała drogę. Zwycięstwo sprowadziła.

I teraz dopiero dowiedzieli się Polacy: co ostatecznie szalę niepewnych losów bitwy przeważyło. Wyjaśnił im to jeden z jeńców rosyjskich.

— Bagration ubity — z płaczem, do ryku podobnym, oznajmił. — Jakże nam zwyciężać, jakże żyć bez niego!

Było już ku wieczorowi, gdy mgła i kurz opadać zaczęły, odsłaniając pobojowisko. Teraz dopiero okazało się, jak drogo kupione zostało zwycięstwo.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przepowiednia kabalarki.

Z oryginału angielskiego przełożyła M. K.

16

(Ciąg dalszy.)

Chester zauważył z uczuciem gniewu i niechęci, że nigdy jeszcze nie widział jej tak pięknej.

Oczy świeciły równie jak perły na szyi, a twarz zabarwiona była przedziwną różowością.

Chester spostrzegł niedługo, że Sylwia była atrakcyą tego wieczoru. Dużo ócz na nią skierowanych było. Jedni patrzyli ciekawie, drudzy ze zazdrością. Widocznie dopisywała jej karta.

Od czasu do czasu zwracała się do pewnego mężczyzny, jak do dobrego znajomego, siedzącego tuż przy niej.

Nagle Sylwia podniosła głowę i zwróciła się do kobiety, stojącej po za nią.

Była to tęga, ordynarnie wyglądająca osoba w czerwonej sukni bez gustu, z małą niebieską czapeczką na głowie.

Chester zdziwił się, że kobieta ta mimo wszystko poważnie wyglądająca, mogła należeć do klubu. Przypomniała mu gospodynie we wielkich domach lordów w Anglii.

Sylwia zwróciła się także raz czy dwa do mężczyzny, stojącego przy tłustej kobiecie. Był on wysoki i szczupły, ubrany we wytarty biały garnitur i mocno zbrudzony panamski kapelusz. Trzymał maleńką książkę w ręce, w której cos pilnie notował.

Najwięcej rozmawiała w zupełnie poufałym tonie z młodym Francuzem po prawej stronie — za jej poradą stawiała też złote dwudziesto frankówki.

Chestrowi zdawało się, że to tylko przykry sen, z którego się za chwilę przebudzić musi.

Mogła doprawdy ta wytworna, światowa kobieta być Sylwią Bailey, skromną wdową, której bez zarzutu zachowanie było ideałem wszystkich starych matron w Dalling Market!

Dla ludzi przyzwyczajonych do gry i wielkiego świata Sylwia nie byłaby się zdawała zmieniona, ale dla Chestera małomiejskiego adwokata, był to niezwykle nieprzyjemny widok.

Nagle Sylwia ujrzała go. Pośpiesznie wstała od stołu i idąc na jego spotkanie zapomniała zabrać wygraną, pietrzącą się w sporej kupce na zielonym stole.

— Bill — pan tutaj — myślałam, że pan już nie przyjedzie. Nie myślałam nigdy, żeby tak późno.

— Tak mi przykro — dodała — bardzo przykro. Za jakiego trzpiota musi mnie pan mieć. Wynajęłam pokój we willi Malfait, bo wszystko u nas zajęte. Ale może pan zawsze jeść obiady i śniadania ze mną, tam znakomita kuchnia i śliczny ogród, Bill!

Chester nie odpowiedział słowa — nie mógł jeszcze zrozumieć zmiany zaszłej w Sylwii, oczy jego więcej też gniewu niż radości wyrażały.

Po chwili zachmurzyła się i ona — bowiem Chester nie był jej ojcem ani krewnym, nie miał więc prawa okazywać niezadowolenia w ten sposób.

Nagle przyszła pożądana przerwa.

— Droga Sylwio, nie chcesz mnie przedstawić przyjacielowi?

Pani Wachner z mężem stali tuż — Fryc notował pilnie choć zdaleka przebieg gry.

Sylwia ucieszyła się bardzo.

— O! Bill, pozwól, że pana przedstawię państwu Wachner. Pani Wachner była bardzo uprzejmą dla mnie od czasu, kiedy przyjechałam do Lacville.

— Bardzo się cieszę z poznania pana, oczekiwaliśmy go właściwie na obiad.

Chester skłonił się grzecznie. Miała przyjemny głos ta przyjaciółka Sylwii i mówiła dosyć dobrze po angielsku mimo akcentu.

— Już późno — zwrócił się do Sylwii, ale mówił już spokojniej.

— Tak pójdziemy, a pani zostaje? Sylwia zwróciła się do pani Wachner.

Chester zauważył, że młody Francuz chował pieniądze Sylwii, musieli więc być dobrze znajomi, kiedy Francuz zajmował się jej wygraną.

— Idziemy także. Fryc jesteś gotów?

Zabrali się i opuścili sale kasyna. Sylwia wyszła mimowoli z panem Wachner, poprzedzana przez Chestera i panią Wachner.

— Pan pewno pierwszy raz w Lacville? — zauważyła ostatnia z uśmiechem. — Lacville bardzo odległe od pańskiego kraju, ale warto przyjechać, to prawie małe Monte Carlo — tu zniżyła głos — to nie jest odpowiednie miejsce dla naszej młodej przyjaciółki, ale ona teraz tak lubi grę. Ta polska dama, pani Wolska, uwielbiała baccarata, ale teraz wyjechała. My tu z mężem przychodzimy często, ale nie dla gry, tylko, żeby się Sylwią trochę zająć. Ona taka młoda, niedoświadczona!

Chester spojrzał życzliwie na panią Wachner.

— To bardzo ładnie — rzekł serdecznie. — Naturalnie nie jest to miejsce odpowiednie dla pani Bailey i jeszcze samej.

Chciał coś jeszcze powiedzieć, wtem Sylwia zagadnęła:

— Gdzie hrabia Paweł? Z pewnością nie pozostał w sali, skorośmy wyszli.

— Nie wiem — rzekła pani Wachner — ale otóż i on — zawołała.

Istotnie hrabia przeciskał się przez tłum, dotarłszy do Sylwii, nie patrząc na Wachnerów i oddał jej 10 luisdorów.

— Oto pani wygrana — rzekł. — Miała pani szczęście. Winszuję serdecznie.

Chester patrzył z jawną niechęcią na hrabiego — a kiedy go Sylwia przedstawiała, skłonił się w milczeniu. Hrabia zamierzał jeszcze pozostać.

— Czy pan nie wraca jeszcze — zapytała go — już jest tak późno?

W głosie jej brzmiała serdeczna prośba.

—Nie pani, obiecałem wziąć bank za kwadrans.

ROZDZIAŁ XX.

Przez ciemne ulice postępowali ku willi.

Nawet Chesterowi zdawało się to dziwnem.

— Nie bardzo pewne miejsce dla szczęśliwych wygranych. Można by tu kogo ograbić, i złoczyńca mógłby ujść niepostrzeżony.

— O Lacville jest bezpieczne — odezwała się pani Wachner — ale zważywszy sumy, które zarabiają w kasynie, mogliby doprawdy ulice lepiej oświetlić.

Sylwia uspokoiła się już po odmownej odpowiedzi hrabiego, choć jej ta niewypowiedzianie przykra była.

Kiedy zbliżyli się do doróżek rzekła:

— Zawiozę pana do pensyonatu Malfait. — Ale pani Wachner zaprotestowała.

— Nie fatyguj się droga pani, my odprowadzimy pani przyjaciela, bo nam to po drodze.

— Ale pański bagaż — czy go już odesłano?

— Tak jest; Pan Polperro postarał się o to.

Zbliżyli się do willi du Lac.

— Oczekuję pana na śniadanie jutro — rzekła Sylwia. — O dwunastej, należy się panu dłuższy spoczynek po tej męczącej podróży.

Chester pożegnawszy się szedł dalej ze swoimi dziwnymi towarzyszami. Dziwiło go bardzo, że w Lacville jeszcze pełno ruchu było — łódki naprzykład jeździły jeszcze zapełnione gośćmi po jeziorze.

— Czy w Lacville wogóle ludzie nie idą spać—zapytał.

— To są ludzie — odpowiedziała pani Wachner, — którzy z amatorstwa jeżdżą całą noc, a rannym pociągiem wracają do Paryża. Nie ma jak młodość!

Tu westchnęła, a po chwili dodała. — Nie czuję coprawda, aby moja młodość tak odległą była ode mnie — ale w moim kraju ludzie nie są tak cyniczni.

Pani Wachner zainteresowała się bardzo adwokatem.

— Czy pan długo tu zamierza pozostać? spytała ponownie.

— Nie wiem, myślę, że nie długo, jadę do Szwajcaryi; będzie też to zależało od pani Bailey. Cóż to za miejscowość jest willa du Lac?

— O, to bardzo zacny dom. Niech pan się nie obawia o przyjaciółkę, tam nic jej się nie stanie. A do kasyna nie chodzi też zbyt często. — A może pan pojedzie do Szwajcaryi sam i wróci potem po panią Bailey?

— I to może być.

Nagle zatrzymano się. Przed nimi była willa Malfait.

— Jesteśmy u celu. Może nie czekają za panem, tylko poszli spać, musimy zaczekać Fryc. Gdyby tak było, najlepiej niech pan u nas przenocuje w naszej willi.

— Jest pani bardzo uprzejma — rzekł Chester z wdzięcznością. Jak dobrze, że Sylwia trafiła na tak porządnych ludzi!

Ale propozycya pani Wachner okazała się niepotrzebna, pan Malfait oczekiwał.

Chester skłonił się państwu Wachner i udał się do przeznaczonego mu pokoju.

Długo nie mógł zasnąć. Nie mógł się pogodzić z myślą, że Sylwia była zupełnie zmieniona i dla niego już jakby obca.

ROZDZIAŁ XXI.

O pół do dwunastej udał się Chester do willi du Lac. Powiedziano mu, że Sylwia jest w ogrodzie i tam ją też znalazł, ale w towarzystwie młodego Francuza, którego już znał z kasyna.

Chociaż Chester nie był dobrym obserwatorem, zauważył natychmiast, że przyszedł za rychło. Sylwia nie była kontenta i młody Francuz także nie.

— Możemy śniadanie zjeść rychlej — rzekła pospiesznie, powstając — wszak między 10 a 12 podawają także, prawda? — zwróciła się do Pawła.

— Tak jest. — Ale i ja muszę powiedzieć do widzenia. Muszę wyjechać do Paryża, jak pani wie, a potem dalej za dwa dni.

— Proszę przypomnieć mnie pańskiej siostrze, księżnie d'Eglemont.

Chester spojrzał zdziwiony, jak zażyłą zdawała się Sylwia być z rodziną księcia.

Gdy hrabia odszedł, rzekła Sylwia do adwokata:

— Hrabia był dla mnie bardzo dobry, Bill. Zapoznał mnie w Paryżu ze swoją siostrą, księżną d'Eglemont. Przypomina sobie pan, że książę wygrał pierwszą nagrodę w Londynie zeszłego roku?

— Szkoda, że musi jechać na pogrzeb teraz — mówiła dalej — mógłby się pan z nim zaprzyjaźnić. On był w szkołach w Anglii, dlatego tak dobrze mówi po angielsku.

Gdy siedzieli przy doskonałem śniadaniu, hrabia jadł samotnie w drugim końcu sali, ale Chestera gniewało, że mógł słyszeć każde słowo.

Mówili też przeważnie o Market Dalling, o wspólnych znajomych; Sylwia była milcząca i nieswoja. Nie wspomniała ani słowa o Lacville.

Dopiero w ogrodzie podczas czarnej kawy ożywiła się znacznie — hrabiego coprawda już nie było.

Ogród podobał się Chesterowi bardzo.

— To bardzo oryginalny, ale przyjemny hotel — rzekł wreszcie — teraz rozumiem, czemu lubisz Lacville, dziwię się tylko, że grasz w kasynie.

— Ależ wszyscy tutaj grają — zresztą to nic złego, jeżeli dużych sum się nie ryzykuje.

— Myślisz tak? — rzekł sucho.

— Oto pani Wachner — zawołała nagle Sylwia, a adwokatowi zdawało się przez chwilę, że było trochę ulgi w jej głosie.

— Jedliśmy śniadanie na mieście — rzekła nadbiegając szybko — i przyszłam zapytać się czybyście państwo nie przyszli na herbatę dzisiaj do nas?

Sylwia spojrzała na przyjaciela.

— Bardzo chętnie — rzekł tenże — mieliśmy zamiar na przechadzkę najpierw pojechać; ale o piątej wystarczy?

— Tak jest — rzekła pani Wachner.

A potem ku zadowoleniu adwokata oddaliła się szybko, tłumacząc się, że mąż jej czeka.

— To sympatyczna kobieta — rzekł Chester — dobrze, żeś się z nią zapoznała, pewno dużo jeszcze osób znasz we willi du Lac?

— O nie — z hotelu znam tylko hrabiego i to tylko wypadkiem, we willi nie zawsze są odpowiednie znajomości, a już co do kobiet, które tu przyjechały dla gry — tu urwała, bo przyszło jej na myśl, co ona lepszego.

— Więc przyznajesz, że nie jest to stosowne miejsce dla kobiet przyzwoitych, samotnych.

— Nie, nie przyznaję, ale nie mówmy o nieprzyjemnych rzeczach — wybierzmy się lepiej na te cudną przejażdżkę do Montmorency.

Chester nie zapomniał nigdy dnia tego, był to najprzyjemniejszy dzień z całej bytności w Lacville. Ale Sylwia nie była tak uradowana przejażdżką jak jej towarzysz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W płomieniach.

15) Z francuskiego tłumaczyła M. P.

(Ciąg dalszy.)

— Czy nie byłem zawsze waszym przyjacielem? — odrzekł Coquenil poważnie. — Czy nie pożyczyłem wam mego Hektora, pomimo, że jestem tak do niego przywiązany? Zaręczam wam, że nie zaszkodzi wam to w niczem, a mnie pomoże, i dlatego proszę, zgódźcie się na moje żądanie. No, dajcie rękę!

— Sprawa załatwiona! — zawołał kościelny i uścisnął podaną sobie rękę.

— Przygotujcie zwolna waszą żonę na to, że Franciszek będzie musiał wziąć urlop. We wtorek o szóstej przyjdzie jego zastępca Mateuszu. Nie zapomnijcie — Mateuszu.

— Nie zapomnę!

— Więc teraz dobranoc, a raczej dzień dobry! Patrzcie, jak jutrzenka zagląda przez to różowe okno! Ładnie wygląda takie światło!

Potem ziewnął i przeciągnął się leniwie.

— Ach, — rzekł jeszcze, — kiedy ja się znowu wyśpię! Tak mi potrzeba snu! A teraz — co do Hektora — byłbym o mało zapomniał. Tigol przyjdzie tu we wtorek rano z kartką odemnie i zabierze psa. Potrzebuję go na ten dzień, o szóstej przyprowadzę go napowrót.

— Jak pan chcesz! Do widzenia we wtorek.

O godzinie piątej opuszczał Coquenil z Tigolem plac Notredame.

— Wiecie, co macie do czynienia, — mówił detektyw, — we wtorek w południe spotkamy się pod pierwszym łukiem na dworcu w Autenil.

— Wiesz pan, że w wtorek jest czternastego?

— Prawda! Nasze święto narodowe! A zbrodnia została popełnioną w dzień święta niepodległości północno-amerykańskiej. Szczególny traf! Tem lepiej—w natłoku jest każdy bezpieczniejszy, a zresztą ja muszę się zastosować do niego. Gdybyście widzieli, że ktoś idzie za wami i śledzi was, to nie zbliżajcie się do mnie! Włóżcie w takim razie kartkę za obrożę Hektora i każcie mu poszukać mnie. Pies musi być poprzednio ostrzyżony — szkoda, ale tak być musi, jest to pewniejsze. Teraz już wszystko ułożone. List do niej macie, powiedzcie jej, że chwilowo nie mogę posyłać jej listów pocztą, i ona też nie ma do mnie pisać. Skoro tylko będę mógł, przybędę do niej. Pieniądze może wydać wszystkie, niech sobie kupi wszystko, co jej przyjemność sprawia.

Ojciec Tigol skinął głową na znak, że rozumie.

— A teraz weźcie dorożkę i jedźcie na dworzec. Do widzenia, przyjacielu, — dodał, ściskając mu rękę, — i niech ona tylko będzie spokojną o mnie!

Dorożka oddaliła się, a Coquenil stał jeszcze długo z swoją bronzową torbą i patrzał za odjeżdżającym z tęsknotą i żalem. Potem westchnął i zwrócił się szybko w boczną ulicę.

— — — — — — — — — — — — — —

Wtorek, czternastego lipca! Wielkie francuskie święto! Cały Paryż na ulicy, muzyka, żołnierze i rozpromienione twarze! Od rana jadą pociągi, omnibusy, dorożki, automobile i powozy w zwartych szeregach do lasku Bulońskiego, gdzie prezydent Rzeczypospolitej odbiera paradę wojskową w obecności miliona obywateli paryskich.

Coquenil wybrał najwięcej ożywioną część stolicy na spotkanie się z Tigolem.

Około dziesiątej rano stanął ojciec Tigol z smutnie zmienionym Hektorem w Autenil. Biedny pies! Jego lśniący, bujny włos był śmiesznie krótko przycięty, zdawało się nawet, że zwierze czuje się tem upokorzone, bo szło z spuszczoną głową za Tigolem, jak gdyby się wstydziło swej niekorzystnej zmiany. Tigol wstąpił do znajomego restauratora, mieszkającego tu po drodze i prosił, aby zatrzymał psa aż do jego powrotu.

Następną godzinę zużył stary policyant na to, że jeździł koleją z Autenil na inne stacye, i że wracał znowu — chcąc się przekonać, czy go kto nie śledzi. Na stacyi Avenue Henry Martin udał się na inny peron i wsiadł do pociągu, wracającego do Champs de Mars. Dwóch innych pasażerów uczyniło to samo, jakiś młody chłopak i mężczyzna, mający mniej więcej lat pięćdziesiąt, o siwej, rozczochranej brodzie. Młodego chłopca nie widział już potem, ale gdy wysiadł na Champs de Mars spostrzegł owego starszego człowieka, który szedł za nim aż przez most na drugi peron, gdzie znów obydwaj wsiedli do pociągu, jadącego do Autenil.

To już było podejrzane i dlatego wrócił Tigol ztamtąd raz jeszcze do Champs de Mars. Tam ujrzał naturalnie po raz drugi mężczyznę o siwej brodzie i teraz nie wątpił już ani na chwilę, że ktoś go śledzi.

Najpierw zaczekał więc, aż ów mężczyzna zajął miejsce w wagonie, i nie namyślając się długo, wszedł za nim do tego samego przedziału.

Obydwaj siedzieli naprzeciwko siebie.

Ojciec Tigol wydarł kartkę z notesu i następujące do Coquenila napisał słowa:

„Posyłam to przez Hektora, bo śledzi mnie ktoś. Mężczyzna, który ciągle chodzi za mną, wygląda bardzo licho — ma potarganą siwą brodę, bez wąsa. Przymyka raz po raz prawe oko i ma drganie nerwowe w twarzy, przyczem otwiera usta, ukazując okropne żółte zęby. Wartoby mieć taki jeden ząb jako nadzwy....."

— Chciałbyś pan mieć rzeczywiście mój ząb? — zapytał w tejże chwili mężczyzna o siwej brodzie.

Ojcu Tigol wypadł ołówek z ręki.

— Wybacz pan, ale ja umiem czytać z odwrotnej strony!

— Ach!

— Więc chciałbyś pan mieć jeden z moich zębów?

— O, proszę — nie fatyguj się pan, — odpowiedział Tigol.

— Ależ to nie żadna fatyga — przeciwnie, — oświadczył nieznajomy i schwyciwszy jeden z zębów dwoma palcami, poruszył niemi jeden raz i drugi i śmiejąc się, podał ząb Tigolowi.

Pociąg wjeżdżał właśnie na dworzec w Autenil, gdy się to działo.

— Wielki Boże! — zawołał Tigol.

— Więc przebrałam się tak dobrze, że mnie nie poznaliście? — zapytał nieznajomy innym zupełnie głosem.

— Ach! — krzyknął Tigol i zerwał się jak szalony, — to pan Andrzej!

Coquenil śmiał się głośno.

— Zęby te są z kauczuku, — rzekł, — można je wsunąć na własne, widzicie?

I włożył znów wyjęty ząb na dawne miejsce.

— Nie do uwierzenia! Nawet teraz nie wierzę prawie, aby to pan był — —

— W takim razie uda mi się wprowadzić w błąd snycerza!

— Snycerza! Własna matka nie poznałaby pana! Ale przypominam sobie......

I wstał, bo pociąg zatrzymał się.

— Opowiedzcie mi o mojej matce, — prosił Coquenil. — Czy zdrowa? Nie boi się zanadto o mnie? Wypełniliście wszystkie moje polecenia? Macie list od niej?

Tigol uśmiechał się.

— To jest kochający syn! — zawołał, — ale z temi zębami nie podobałbyś pan się matce! Chodź pan, po drodze opowiem ci wszystko.....

— Dokąd idziemy? — zapytał detektyw.

— Na ulicę La Fontaine po psa.

— Nie, w tem ubraniu nie chciałbym się Hektorowi pokazać. Wynająłem pokój na ulicy Poussin, przebierę się tam prędko.....

— Jak pan chcesz, — odrzekł Tigol i zaczął mu opowiadać o matce. Miał dobre tylko wiadomości i list, pełen miłości i dobrych rad.

— Moja matka jest jednak najlepszą w świecie kobietą! — szepnął Coquenil wzruszony, co dziwną tworzyło sprzeczność z jego okropną dziką powierzchownością.

Idźcie po psa, — rzekł do Tigola, — podczas kiedy ja zmienię ubranie. Czekajcie na mnie tu na ulicy!

Po upływie pół godziny wrócił: tym razem bez okularów i w wytartem, lichem ubraniu, w tem samem, w którem przed kilku dniami wyszedł z hotelu des Etrangers.

— Sprzedawaczka świec zdaje się być bardzo do Hektora przywiązaną, — zauważył Tigol, podczas kiedy pies radośnie witał swego pana. — Nie chciała się wcale z nim rozstać i płacząc oświadczyła, że psu grozi jakieś niebezpieczeństwo. Panu zaś miałem powiedzieć, że ma dla pana jakąś bardzo ważną nowinę i że koniecznie musi się z panem zobaczyć.

Coquenil bawił się pierścionkiem, jaki miał na lewej ręce — potem ściągnął go nagle i wsunął na czwarty palec prawej ręki.

— Dziwna to dziewczyna, — rzekł. — Jeżeli się czegoś lęka, to musi mieć ważne do tego powody, bo ona zna więcej rzeczy, niż inni. Idźcie natychmiast do Notredame i obserwujcie ją, dopóki sam przyjdę. Ale nikt się tego nie ma naturalnie domyśleć. Może jednak chcielibyście się poprzednio dowiedzieć, co zdziałałem w tych dniach! Przyznajcie się, że ciekawość was męczy!

— Wcale nie, — odrzekł stary policyant obrażony, — i jeżeli pan woli milczeć......

— No, no, nie gniewajcie się! Opowiem wam wszystko najważniejsze, gdy pójdziemy do Passy. Potem możecie wziąć tam dorożkę.

Weszli teraz do lasku Bulońskiego i Coquenil odetchnął z rozkoszą świeżem, wonnem powietrzem. Tigol zacierał ręce z radości i z niecierpliwością czekał na to, co mu Coquenil opowie.

— Z tych pięciu dni, — zaczął detektyw, — przepędziłem dwa w Paryżu a trzy w Brukseli.

— Ach, z powodu snycerza!

— Tak, ale on wyjechał, i pomimo najusilniejszych starań nie mogłem się dowiedzieć nic więcej jak to, że on zdaje się rzeczywiście być snycerzem, który ma w warsztacie mężczyzn w czerwonych, wesołych twarzach. Wynająłem mieszkanie u tej samej gospodyni, u której Groener ma stół i stancyą, i po długich z nią rozmowach mogłem stwierdzić tylko to, że jest dokładnie poinformowaną co do Nellie.... Co bylibyście teraz uczynili, ojcze Tigol, będąc na mojem miejscu?

— Byłbym klął straszliwie i byłbym wrócił do Paryża.....

— I ja tak chciałem uczynić, — rozśmiał się Coquenil. — Ale nie mogłem pozbyć się uczucia, że ukrywa się tu jeszcze jakaś tajemnica. Chociaż wszystkie moje najstaranniejsze badania wykazały jasno, że to, co mi mówiono, jest prawdą, to w głębi serca miałem jednak przekonanie, że Groener nie jest zwyczajnym snycerzem. Jestem dziś więcej niż kiedykolwiek tego zdania, że główną zaletą detektywa jest instynkt.

— Więc pan jednak wykryłeś coś jeszcze, — zawołał Tigol ciekawie.

—Słuchajcie dalej! Po upływie dwóch dni zapakowałem moje rzeczy, i czekałem w wspólnym saloniku na wdowę, aby zapłacić rachunek, gdy nagle spostrzegłem na stoliku fotografię Nellie. Dziewczyna mogła mieć wówczas dwanaście, albo trzynaście lat i fotografowaną była razem z wdową. W tejże chwili weszła ona i na pytanie moje opowiedziała mi, że obrazek ten zrobiony był przed pięcioma laty, bezpośrednio po śmierci matki Nellie. Zaraz potem przewieziono dziewczynkę do Paryża. Zapłaciłem rachunek i gdy wdowa wyszła, wziąłem raz jeszcze fotografię, obejrzałem starannie i zauważyłem, że nigdzie nie było nazwiska fotografa. Zdjęcie było doskonałe, tak wdowy, jak i Nellie. Po obejrzeniu obrazka przez powiększające szkło, wsunąłem go bez namysłu do kieszeni i wsiadłem do dorożki, czekającej już przed domem. Ale zamiast na dworzec, pojechałem do najwięcej znanych fotografów w mieście, pokazałem im obrazek, spytałem, ile kosztowałaby kopia jego i obserwowałem uważnie twarze fotografów. Pierwszy, drugi i trzeci odpowiadali mi zupełnie spokojnie i rzeczowo ale czwarty drgnął, ujrzawszy obrazek i podejrzliwie spojrzał na mnie. To mi wystarczało — udałem się natychmiast do szefa policyi, który znał moje nazwisko, oprócz tego miałem list Pougeta. Dosyć, że godzinę później oświadczył przerażony fotograf gotowość powiedzenia wszystkiego, o co go pytać będę!

— Wierzę! — zawołał Tigol. — I co mówił?

— Że fotografia ta zrobioną została dopiero przed sześciu miesiącami.

— Ależ to niemożliwe! Jeżeli dziewczyna ma dziś lat dwadzieścia i......

— I przed sześciu miesiącami wcale w Brukseli nie była! Fotografia ta była naturalnie oszukaństwem! Fotograf złożył ją z rzeczywistego zdjęcia Nellie i innej osoby, zapewne jej matki, w ten sposób, że drugą osobę wyciął i w miejsce jej postawił wdowę. Widziałem prawdziwe zdjęcie, bo fotograf zatrzymał sobie kopię.

— Dlaczego?

— Mówił mi, że mężczyzna, który mu fotografię przyniósł i cała ta sprawa wogóle, była mu trochę podejrzaną!

— Mężczyzna, to jest ów snycerz!

— Tego nie mogłem skonstatować, bo jeżeli to był on, to nie przedstawił się tu jako zwyczajny snycerz, tylko jako wytwornie ubrany człowiek wielkiego świata. Chodziło mu o jak najspieszniejsze wykonanie fotografii nie zważając

wcale na cenę! Więc nie wiem, czy to był nasz snycerz, czy też ktoś inny.

— W takim razie wdowa kłamała!

— Gdyby tylko wdowa! Obydwaj czeladnicy w warsztacie Groenera kłamali także!

— Więc on jednak snycerzem nie jest!

— Może być, że jest, ale on jest czemś więcej jeszcze — on — on —

Coquenil zawahał się na chwilę, potem podniósł głowę i rzekł cicho, lecz wyraźnie:

— Jeżeli znam się trochę chociaż na moim fachu, to on jest tym, który mnie wówczas uderzył w serce, tym, który o mało nie udusił waszego sąsiada, fotografa i tym, który zastrzelił Martineza!

Tigol stanął jak wryty.

— Czy to prawda? — zawołał, — albo czy pan domyślasz się tego tylko?

— To jest prawda, — odrzekł Coquenil, — bo wiem o tem! Zakładam się o dobry obiad, że ten Groener ma na jednej z swoich nóg ślady moich zębów!

— Zgoda! — zawołał Tigol, — przyjmuję zakład. Więc w takim razie polowanie skończone?

Ale Coquenil przecząco poruszył głową.

— Ten człowiek jest śmiałym aż do zuchwałości, — rzekł, — i ma dużo środków posiłkowych. Zastawiłem wprawdzie moje sidła tak, że nie może ich uniknąć — to jest, jeżeli będzie jutro u Banneta.

— Jest on rzeczywiście kuzynem Nellie?

— Ani jej kuzynem, ani jej imie Nellie, — odparł Coquenil spokojnie.

— Jakto?

— Imie jej Vivian, a on jest jej ojczymem.

Tigol patrzał na detektywa z pewnem niedowierzaniem.

— Zkąd pan wiesz o tem?

— Znalazłem na drugiej stronie prawdziwej fotografii napis, którego Groener zapewne nie widział, ponieważ był zakryty ramką. To był drugi błąd, który popełnił.

— I co tam stało?

— Napis brzmiał tak: „Mojemu drogiemu Robertowi od jego wiernej, kochającej żony Doroty i jej małej Vivian.“

— Małe słówko „jej“ wyjaśniło mi wszystko. Vivian nie była „jego“ córką!

— I Nellie nic nie wie o tem? To niemożliwe!

— Zdaje mi się, że wiem, o co chodzi, chwilowo jednak nie chciałbym jeszcze o tem mówić. Zresztą najwyższy czas, abyście jechali do Notredame. Weźcie automobil, i nie zapominajcie o tem, że trzeba obserwować Nellie! Jest to bardzo ważne!

Po rozstaniu się z Tigolem zwrócił się Coquenil na boczne ścieżki, bawiąc się z Hektorem, który na rozkaz jego wykonywał wszystkie swoje sztuki. Skakał przez kij, aportował, chwytał w pędzie rzucaną chustkę i nareszcie zmęczony, zziajany, usiadł na rozkaz swego pana przy nim na ławce. Coquenil zapalił teraz papierosa, co było zawsze znakiem, że jakaś myśl go męczy i niepokoi i w głębokiej pogrążył się zadumie.

— Kto jest Nellie? — pytał w duszy sam siebie — i kto jest ów Groener?

Pytanie to stawiał sobie już setki razy, nie umiejąc znaleść na nie odpowiedzi.

— Nie wiem! — rzekł głośno i wstał. — Chodź, Hektorze, musimy wyzyskać dzisiejszą przechadzkę!

Kilka minut później wyszedł Coquenil na małą zieloną łączkę, na której znajdowało się dosyć liczne towarzystwo mężczyzn i kobiet, którzy wybrali sobie to urocze miejsce, aby po skończonej paradzie wojskowej zjeść tutaj śniadanie. Wszyscy należeli do najlepszego towarzystwa, widać to było po wytwornych ubraniach, wspaniałych automobilach i przepysznym czterokonnym pojeździe. Służba w czerwonych frakach biegała tu i tam z talerzami, półmiskami i szampanem, panowie usługiwali paniom i wszyscy w najlepszych byli humorach. Z drugiej strony przybyły jeszcze dwie osoby, mężczyzna z kobietą, jeden zaś z służby, przechodząc koło Coquenila, zawołał swemu towarzyszowi z daleka:

— To jest książę Montreuil z żoną!

Nazwisko księcia znane było w całym Paryżu. Nikt nie umiał urządzać takich balów, takich zabaw i wycieczek jak on, a że oprócz tego miał wielkie wpływy w najwyższych kołach rządowych, przeto każdy starał się o jego znajomość i przyjaźń.

— Człowiek to godny zazdrości, — pomyślał detektyw, — ale cóż robić, trzeba się i mniejszem zadowolić.

W tejże chwili szczeknął Hektor i przycisnął łeb do nóg swego pana.

Coquenil rzucił mu kij.

— Apporte! — zawołał.

Hektor pobiegł po kij, przyniósł go, lecz zamiast oddać panu, upuścił go na ziemię i pędząc już to naprzód, już to z powrotem, zakreślał coraz większe koła. Potem drżący, z błyszczącemi oczami, stanął przed Coquenilem i zaskowyczał cicho.

— No, no, — uśmiechnął się detektyw, — przypomniały ci się dziecięce lata? A ja myślałem, że zapomniałeś już o kotach i królikach.

Ale Hektor przyłożył teraz nos do ziemi i szedł wolno w stronę łączki. Widocznie znalazł jakiś ślad, lecz jaki? Od owego szukania właściciela pistoletu nie używał Coquenil psa do tropienia śladów — czyżby Hektor po dziesięciu dniach miał jeszcze ślad ten w pamięci?

— Szkodzić nic nie może, — rzekł sobie Coquenil w duszy, — więc dalej! Szukaj Hektorze, szukaj!

Pies porwał się natychmiast i popędził prostą drogą ku łączce, na której rozłożyło się teraz całe towarzystwo.

— Na Boga! — krzyknął Coquenil przerażony i wołając na psa, puścił się pędem za nim. Ogromny pies, biegnący z spuszczonym łbem, wywołał niezmierny popłoch pomiędzy paniami, nawet panowie zerwali się przestarszeni.

— Hektor! Do nogi! — krzyczał Coquenil, ale już było za późno.

Pies nie ustawał w biegu. Z niesychanem natężeniem rzucił się do góry, przeskoczył automobil i już dopadł siedzących w pojeździe, gdy nagle schylił się jeden z panów, mający coś błyszczącego w ręku. Strzał padł, mały obłoczek dymu zasłonił na chwilę psa, i Coquenil ujrzał go zaraz potem leżącego na ziemi.

— Mój pies! Mój pies! — jęknął z rozpaczą, rzucając się na kolana przed swym drogim, wiernym towarzyszem. Na pierwsze zaraz spojrzenie poznał, że pomódz już mu nie może, kula przebiła samo serce Hektora!

— O Hektorze! mój drogi przyjacielu, — szepnął, unosząc piękną głowę psa i przyciskając ją czule do serca. Wierne zwierze otworzyło raz jeszcze oczy, spojrzało żałośnie na swego pana i zamknęło je na zawsze.

— Zabiłeś mi pan psa! — zwrócił się Coquenil do mężczyzny, trzymającego zawsze jeszcze rewolwer w ręku.

— Własna pana wina, — odrzekł dumnie arystokrata. — Czemu pozwoliłeś tak niebezpiecznemu zwierzęciu biegać po promenadach i napadać ludzi?

(Ciąg dalszy nastąpi).